Cena 10 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II. LUBLIN, 1 LIPCA 1946 R. Nr 13

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

Melpomena błąka się po bezdrożach

Jeszcze nie pogrzebano trupów w dopiero co wyzwolonym Lublinie, a tu i ówdzie dogasały jeszcze świeże zgliszcza, kiedy już uruchomiono teatr. Po pięciu latach okrutnej okupacji, w mieście, ukrzyżowanym na majdankowej Golgocie, znów padło ze sceny słowo polskie.

Dzień ten był świętem nielada. Obchodzono bowiem nie tylko moment odzyskania niepodległości, ale i zarazem tryumf kultury, tryumf poezji, zapewniającej nawet narodom pozbawionym własnego bytu państwowego — nieśmiertelność. Zanim jeszcze zadymiły kominy fabryczne, zanim jako - tako ruszył handel, kiedy ludzie wahali się, wyczekując na „cud", ze sceny pierwszej stolicy wyzwolonej Polski popłynął strumień piękna. Powiało naraz wiarą i otuchą. Kto mógł w tym czasie, słuchając „Wesela" czy „Przepióreczki", obserwować reakcję widowni, ten musiał dojść do przekonania, że teatr w nowej Polsce wchodzi na nowe tory, stając się udziałem szerokich mas.

Już pierwsze dwa lata dowiodły, że teatr ma istotnie przed sobą nowe horyzonty. Po niedoli czasów przedwojennych, kiedy to opera stołeczna staczała się coraz niżej, a przybytki Melpomeny, świecąc pustką, dogorywały jeden po drugim, spotkaliśmy się nagle ze zjawiskiem w stosunkach naszych wręcz niebywałym—z faktem ogromnego zainteresowania teatrem. Dzisiaj już nawet największe sale nie mogą pomieścić widzów. Prawie każda sztuka ma u publiczności „wzięcie".

Społeczeństwo, zmęczone fizycznie i moralnie wojną, rzuciło się do teatru, jak do ożywczej krynicy, by stamtąd czerpać piękno i zdrowie (podobnym zresztą powodzeniem cieszy się dzisiaj muzyka i drukowane słowo). Króluje wszakże teatr, który wciąż jeszcze trzyma w swej mocy serca.

Zaufanie, jakim społeczeństwo darzy scenę, wkłada jednak na aktorstwo i obowiązki. Od tego, w jakim stopniu będą one spełnione, zależy w wielkiej mierze osąd roli, jaką ma do odegrania teatr w nowej Polsce.

W tej chwili jednak to, co się dzieje na odcinku teatralnym, wcale nie daje powodów do optymizmu. Widzimy tam bowiem chaos. Mnożą się tam symptony, mówiące, że Melpomena błąka się po bezdrożach.

Wiele już napisano o największej z bolączek teatru dzisiejszego, a mianowicie o repertuarze. Prasa biła i wciąż jeszcze bije na alarm. Ministerstwo Kultury i Sztuki specjalnym zarządzeniem określiło charakter repertuaru, z jednoczesnym podaniem stosunku ilościowego sztuk „trudnych" do „lżejszych", podkreślając równocześnie konieczność uwzględnienia współczesnej twórczości dramatycznej. Mimo to jednak prawie nic nie zmieniło się w polityce repertuarowej naszych teatrów. Nadal rozpiera się buńczucznie na większości scen głupia, wyświechtana farsa, wciąż jeszcze oglądamy „Muzykę na ulicy", „Naszą żoneczkę", „Papę" i t. p.

Najpierw tłumaczono ten stan koniecznością wystawiania sztuk łatwych i niewymagających wkładu, skoro teatr dźwiga się „z niczego". A kiedy argument ten nie przekonał nikogo, poważni aktorzy i reżyserzy poczęli gorąco dowodzić, że w ten sposób „wychowują" widza. „Od farsy do Szekspira wiedzie prosta droga" — twierdzono. Uważam jednakowoż, że widz wychowany na banalnej, a często nawet plugawej farsie, nigdy nie dojdzie do odczucia i zrozumienia „Burzy", „Nieboskiej", „Fantazego", czy „Ptaka", jak konsument plastyki, przyzwyczajony do obcowania z oleodrukami, nie pojmie Rembrandta, Cesanne'a lub A. Gierymskiego.

Twierdzenie to jest z gruntu fałszywe, a jednocześnie i szkodliwe. Bez większego wysiłku można więc skonstatować, że teatry nasze, układając repertuar, kładą przede wszystkim nacisk na to, by ten był lekkostrawny, niewymagający większego wkładu materialnego, a co najważniejsze „kasowy". A przecież doświadczenie wykazało, że sztuki o większym ciężarze gatunkowym idą równie dobrze (jeśli nawet nie lepiej), jak te brechty (przykład „Elektra" w Łodzi, „Lilla Weneda" w Warszawie).

Przy układaniu repertuaru należy wciąż pamiętać o społecznej roli teatru, który ma dawać widowni nie tylko maksimum przeżyć estetycznych, ale musi być też czynnikiem kształtującym nowego człowieka w nowej Polsce. Ze sceny muszą padać słowa, które będą siewem i zarzewiem nowych, śmiałych poczynań w tym wielkim dziele, jakie ma do spełnienia nasze pokolenie. W ramach kulis powinny rysować się wielkie problemy społeczne. Stąd też niechaj padnie odpowiedź na nurtujące nas pytania.

Dlatego teatr musi nawiązać ścisłą łączność ze współczesną twórczością dramatyczną. Mówi się o niej, że jest „słaba" albo „nijaka" a jednocześnie gra się obce, płaskie sztuki, sztuki daleko słabsze i bardziej nijakie. Kiedy tymczasem rzeczy zatwierdzone przez komisję repertuarową Ministerstwa Kultury i Sztuki bardzo rzadko zjawiają się na deskach scenicznych („W starej cegielni" Jarosława Iwaszkiewicza, „Droga do źródeł" T. Perkitnego, „Zamach" Brezy i Dygatą, „Papuga" Korcellego).

Teatr nie nawiązał dotychczas kontaktu ze współczesnym autorem. Pisarz dramatyczny jest zapomniany i zepchnięty w cień, jakby był niepotrzebny. Dlatego ze sceny, z tej sceny, która zdobyła sobie serce społeczeństwa, nie płynie nurt dzisiejszości. Klientowi, wykorzystując jego głód, podaje się często towar poważnie zwietrzały.

Na zjazdach dyrektorów scen, kilkakrotnie już zwoływanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a ostatnio na konferencji prasowej nie zainteresowano się zagadnieniem niezmiernie ważnym (jeśli nie najważniejszym)—problemem upowszechnienia kultury teatralnej. Cały czas i wysiłek poświęcało się dotychczas wyłącznie tylko teatrom zawodowym, obsługującym większe miasta, zapominając o tym (co zresztą podkreśla się przy każdej okazji), że w Polsce demokratycznej musimy uprzystępnić teatr najszerszym masom, a więc tym wszystkim, co zamieszkują w małych osiedlach, osadach i na wsiach. Wiemy, że powstający teatr objazdowy Leona Schillera nie zdoła tego zagadnienia rozwiązać. Będzie to tylko kropla, ożywcza, błogosławiona kropla, w morzu zapotrzebowań.

Z tej właśnie racji wypływa z jednej strony konieczność podziału pracy teatrów zawodowych pomiędzy dwie grupy: stałą i objazdową, z drugiej zaś roztoczenia przez Ministerstwo Kultury i Sztuki specjalnie pieczołowitej opieki nad działalnością zespołów ochotniczych tak na wsi, jak i w mieście.



ST. WYSPIAŃSKI CARITAS

Sprawą tą zajmowano się u nas mało, powiedzmy nawet za mało. Do pracy teatrów ludowych fachowcy, aktorzy, najczęściej podchodzili i nadal jeszcze podchodzą z niechęcią, a co najwyżej z pobłażaniem. Akcją wskrzeszonego Związku teatrów ludowych nie interesuje się aktor zawodowy, a praca rozwija się tylko dzięki wysiłkom grona społeczników, kroczących śladami nieodżałowanej pamięci Jędrzeja Cierniaka.

Trzeba skonstatować, że prawdopodobnie jeszcze długie lata miną, zanim wieś ujrzy teatr z prawdziwego zdarzenia. Dlatego właśnie trzeba jak najszybciej zająć się organizacją teatru ochotniczego, który ma w przyszłości zaspakajać potrzeby prowincji. Dzisiaj to wszystko, co dzieje się na odcinku teatru ludowego na wsi, czy też w mieście, jest dalekie nie tylko od doskonałości, ale i od jakiej - takiej poprawności. To też podniesienie poziomu zespołów amatorskich jest rzeczą konieczną i pilną.

Najlepiej byłoby podejść do sprawy organizowania teatrów amatorskich w powiatach, osadach i wioskach przez tworzący się w tej chwili samorząd kulturalny (Rady i Komisje kultury i sztuki) oraz Związek Teatrów Ludowych. Stale szkoleni instruktorzy, zaopatrzeni w odpowiedni repertuar (wieś narzeka na brak tegoż) powinni zająć się akcją montowania teatru dla mas, teatru wolnego od przykrej maniery wynikającej z naśladowania sceny zawodowej przez amatorów, a noszącego cechy istotnej ludowości.

Wielkie usługi oddałoby tej sprawie aktorstwo, pomagając w realizacji tego doniosłego dzieła. Udział ten byłby z różnych względów bezcenny.

Omawiając bolączki teatralne, trudno było nie dotknąć tak ważnej kwestii, jaką jest teatr ochotniczy, tym bardziej, że sprawa ta jest stale niedoceniana, przemilczana i omijana na wszystkich zjazdach i konferencjach, poświęconych teatrowi.

Ostatnio dowiedzieliśmy się z komunikatu prasowego o powołaniu przez departament teatru Min. Kultury i Sztuki Rady Teatralnej. Na liście figurują znane wszystkim nazwiska. Może właśnie to ciało stanie się właściwym regulatorem spraw teatralnych. Czekajmy z wiarą. Tymczasem jednak Melpomena błąka się po bezdrożach.

BOGDAN KAMODZIŃSKI

DZIEJÓW GORYCZĄ

Gdzie brak jest skargi przed niebytem tez,
Tam, gdzie ostatnia jest światła granica —
Martwo przechodzi na rozpaczy kres
Groza wieczności gasnącej na nicość.

Na kępach śniegu nieodwieczny żal...
Pusto i chmurnie aż po nocy wrota.
Lepiej by ciemność biła ogniem palb,
Niż ponad klęską zostało martwota.

Łatwiej jest frontów przeraźliwy gong
Znieść śród pożarów, niż słuchać tej chmury.
Dziejów goryczą kładła się na zgon
Tych, którzy widmem padali pod murem.

Ślad tamtych grobów na odmętach ćmy
Został po korzeń niewyzbyty życia.
I wieczność wyższa nad popiół i dym
Z przepaści patrzy światła źrenicą.

ANNA KAMIEŃSKA

ROZSTANIE

Krople, wołajcie się po świecie,
aby złożyć deszcz, co padał latem.

Cienie liści, wzlatujcie
książkę ratować miłą.

Drogi, z innych światów śpiesz się,
żeby zdążyć na chwilę,
kiedy pamięć odda mi twarz twoją
wszystkomocnym pragnieniem.

Usta, gotujcie głos ten,
który eter kręgiem odnosi.

Pożegnany, ujrzyj chwilę rozstania
w łzach mej radości.

Raczej wróci się ten żołnierz w zbożu,
który pomknął i mak zerwał w bitwie.

I powrócą do skutków przyczyny,
mak odnajdzie swój kolor w historii —
a obróci się w proch i ruinę
dzień i pora i miejsce i głosy,
kochającym gdy jasne się stało:
nie podniesie się głowa ich syna
znad kart książki, którą czytali.

J. JESIONOWSKI

DOLNY ŚLĄSK – ZIEMIA OBIECANA

Wrocław, w maju.

Minął rok od chwili, gdy pełnomocnicy rządu polskiego rozpoczęli organizowanie administracji na terenach Dolnego Śląska, wracających do Polski po kilkusetletniej niewoli. Ponieważ znaczenie i wartość ziem odzyskanych, a głównie Dolnego Śląska, są ciągle jeszcze w Polsce centralnej i wschodniej niedocenione, nie od rzeczy będzie w przypadającą rocznicę zastanowić się, czym był, czym jest i czym może i powinien być Śląsk w nowym układzie geograficznym Polski.

„SCHLESIEN"

Państwu niemieckiemu, mimo kilkusetletniego tu panowania i ogromu podejmowanych wysiłków, nie udało się uczynić tych terenów niemieckimi. Wprawdzie zewnętrznie wszystko tu było takie same jak w reszcie Niemiec, jednak, jak przyznają sami Niemcy w swych poważniejszych pracach naukowych, pod tą stosunkowo cienką powłoką kwitło życie inne, według ich terminologii — „śląskie". O tym, że owe „śląskie" obyczaje i „śląska" mowa były uderzająco podobne do obyczajów i mowy polskiej, milczała nauka niemiecka. Było to zresztą zgodne z ogólną polityką separatystyczną Niemiec, stosowaną nie tylko wobec ludności polskiej.

Po pierwszej wojnie światowej i utworzeniu państwa polskiego ilość tej ludności „śląskiej" w miastach zmalała znacznie wskutek odpływu w granice Polski. Na wsiach jednak chłop polski, przywiązany do swej ziemi, pozostał nadal. Najbardziej uświadomiona część ludności polskiej zrzeszona była w „Związku Polaków w Niemczech". Reszta żyła w granicach, w których zachowała obyczaje i mowę polską. Część ludności, szczególnie ta, która znalazła się w otoczeniu całkowicie niemieckim, uległa niestety zgermanizowaniu.

Zawsze silna akcja germanizacyjna wzmogła się niesłychanie po dojściu do władzy Hitlera. Szczególnie trudne i krwawe były dla tutejszego Polactwa ostatnie lata. Wielka ilość Polaków zginęła w więzieniach i obozach, nie doczekawszy się niepodległości.

Chcąc dziś przekonać się, kto naprawdę zamieszkiwał „das echtdeutsche Schlesien", wystarczy przejść się po tutejszych cmentarzach. Leżą tu „rdzenni, rasowi Niemcy": Szczepańscy, Kruszyńscy, Domagałowie, Nowakowie i inni o równie germańskich nazwiskach.

PIONIERZY

Wiosną ubiegłego roku przetoczył się przez Śląsk walec wojny. Kilkusetletnia władza niemiecka znikła. Uciekł w popłochu napływowy aktyw hitlerowski. Bezpośrednio za posuwającą się Armią Czerwoną szła nowa władza tej ziemi — polska.

Pełnomocnicy rządu polskiego, którzy przybyli obejmować tereny Śląska, zastali warunki niesłychanie trudne. Walka trwała i Śląsk był bezpośrednim pasem przyfrontowym. System komunikacyjny był zrujnowany. Ze wschodu na zachód szły armie — z zachodu na wschód masy oswobodzonych niewolników Trzeciej Rzeszy. I najpoważniejsza trudność — brak ludzi. Autochtoniczna inteligencja polska Śląska została w okresie rządów hitlerowskich wyniszczona doszczętnie. Dopływ pracowników z centralnej Polski nie nadążał za rosnącym zapotrzebowaniem. Stan bezpieczeństwa pozostawiał wiele do życzenia, nie było żywności ani pieniędzy.

Mimo to jednak teren został opanowany. Dzięki wytrwałości i uporowi tych pierwszych pionierów, którzy mierzyli siły na zamiary, którzy mimo dotkliwych niedostatków pracowali po szesnaście i więcej godzin dziennie, nie pytając, kto i kiedy będzie za to płacił — już po kilku tygodniach działała na Śląsku administracja, mniej zniszczone fabryki rozpoczynały produkcję, funkcjonowała polska kolej i poczta.

...I SZABROWNICY

Ten okres wielkich pionierów był równocześnie okresem wielkich szabrowników. Po całym Śląsku, wzdłuż i wszerz, grasowali owi „poszukiwacze złota", wywożąc wszystko, co tylko przedstawiało jakąkolwiek wartość, a dało się zmieścić na samochód. Bo samochodów mieli oni pod dostatkiem — w przeciwieństwie do miejscowych burmistrzów i starostów, którzy niejednokrotnie nie mieli czym rozwieźć w teren nowoprzybyłych pracowników. Byli wśród tych „eksporterów" i wysocy urzędnicy z centrum kraju, zaopatrzeni w przeróżne zaświadczenia, upoważnienia i delegacje służbowe, i zwykłe cienme typy ze wszystkich stron Polski.

Ich krótka, lecz intensywna działalność sprawiła, że obecnie niektóre rzeczy, pochodzące ze Śląska, są sprowadzane tam z powrotem, z Krakowa czy Warszawy, oczywiście po odpowiedniej cenie.

Wielki szaber skończył się stosunkowo szybko. Natomiast do dzisiejszego dnia przewalają się przez Śląsk tłumy szabrowników pomniejszych „walizkowych". Oblepiane są nimi pociągi, łączące Śląsk z resztą Polski, pełne nich są dworce i targowiska śląskie. Będzie o tym mowa jeszcze niżej.

OSADNICTWO

Osadnictwo polskie na Śląsku, trwające od chwili oswobodzenia, z końcem lata przybrało charakter masowy. Obok innych względów, na ów gwałtowny wzrost wpłynął również czynnik natury psychologicznej w postaci konferencji poczdamskiej, która uprawomocniła nasz powrót na ziemie odzyskane.

Znaczna ilość ludności, głównie rolniczej, przybyła na Śląsk w ramach repatriacji ze Związku Radzieckiego.

W obecnej chwili zamieszkuje na Dolnym Śląsku około miliona Polaków, co stanowi połowę ogółu ludności. Chłonność wsi jest chwilowo wyczerpana, gdyż prawie wszystkie gospodarstwa indywidualne są już obsadzone przez Polaków. Dalsze ilości ludności rolniczej będzie można osiedlić dopiero po rozparcelowaniu majątków, które zajmują na Dolnym Śląsku 45% ogólnej powierzchni ornej. Akcja parcelacyjna natrafia na poważne trudności ze względu na brak budynków.

Miasta mogą jeszcze przyjąć znaczną ilość ludności polskiej, przede wszystkim wykwalifikowanych robotników i rzemieślników.

GOSPODARCZE ZNACZENIE DOLNEGO ŚLĄSKA

Wartość gospodarcza Dolnego Śląska nie jest — niestety — ogólnie znana i doceniana. A jest on bez przesady — w porównaniu z innymi okręgami Polski — ziemią obiecaną.

Nie ma dziedziny przemysłu, która nie byłaby tu reprezentowana, i to w dużym stopniu. I tak:

1) przemysł węglowy już obecnie (mimo unieruchomienia na skutek działań wojennych szeregu kopalń) produkuje około 300.000 ton węgla i 60.000 ton koksu miesięcznie;

2) przemysł hutniczy produkuje: rudę żelazną, wapień, glinki ogniotrwałe i inne;

3) przemysł włókienniczy Dolnego Śląska pokrywa w 30% zapotrzebowanie całego kraju. Zatrudnia on obecnie około 33.000 ludzi.

4) przemysł budowlany produkuje wszystkie bez wyjątku materiały budowlane. Znajduje się tu największa w Europie fabryka dachówek. Kamieniołomy śląskie są w stanie pokryć zapotrzebowanie całej Polski na kamienie budowlane (granit, marmur, bazalt, piaskowiec, malachit i t. p.). Zaliczany do tej grupy przemysł szklany produkuje — prócz szkła budowlanego — wszelkie inne gatunki szkła oraz kryształy i porcelanę;

5) przemysł energetyczny, b. silnie rozbudowany za niemieckich czasów, uległ w czasie działań wojennych ogromnemu zdewastowaniu. Pomimo to produkcja wynosi już obecnie ponad 100 megawattów;

6) przemysł elektrotechniczny, mimo wielkiego zniszczenia, wznawia produkcję odbiorników i lamp radiowych, liczników elektrycznych i innych urządzeń radio- i telekomunikacyjnych;

7) przemysł metalowy posiada we Wrocławiu największą w Europie fabrykę wagonów. Mimo zniszczeń wojennych, fabryka ta jest błyskawicznie odbudowywana. W końcu ubiegłego roku wyprodukowano pierwsze węglarki. Obecnie fabryka zatrudnia 4.500 robotników i ilość ich stale wzrasta. Możliwości produkcyjne fabryki wodomierzy we Wrocławiu przekraczają zapotrzebowanie Polski. Istnieją poza tym fabryki obrabiarek, śrub i inne;

8) przemysł papierniczy Dolnego Śląska posiada 139 zakładów produkcyjnych.

9) przemysł chemiczny produkuje — obok złota (w małych ilościach) — nawozy sztuczne, wyroby farmaceutyczne, przetwory tłuszczowe, proch, ultramarynę, kwas siarkowy, smołę węglową, tolnol, biel cynkową, minię ołowianą i wiele innych;

10) przemysł drzewny: meble, zabawki, wyroby kołodziejskie i bednarskie oraz stolarkę budowlaną.

Również przemysły: spożywczy, skórny i zbrojeniowy posiadają na Dolnym Śląsku wiele zakładów produkcyjnych.

Trzy razy gęstsza niż w przedwojennej Polsce sieć drogowa pozwala na szybki i tani transport wytworów przemysłu. Wielka wodna arteria komunikacyjna — Odra — otwiera dla wyrobów Śląska okno na zamorski świat.

Odzyskanie uprzemysłowionego Śląska zmienia dotychczasowy rolniczy charakter Polski na rolniczo-przemysłowy i zwiększa znacznie nasz udział w handlu światowym.

Również pod względem rolniczym Śląsk jest terenem bardzo bogatym. Ziemia jest dobra, klimat bardzo łagodny (roboty wiosenne rozpoczynają się w marcu). Wsie są zelektryfikowane, gospodarka zmechanizowana.

Do bogactw naturalnych Śląska zaliczyć jeszcze należy wielką ilość uzdrowisk podgórskich.

BLASKI I CIENIE ODBUDOWY

Podane wyżej cyfry odnoszą się do chwili obecnej i mają również znaczenie polityczne. Jak wiadomo, część opinii angielskiej z ministrem Bevinem na czele usiłuje kwestionować nasze prawa do Dolnego Śląska. Bevin wysuwa przy tym argument, że Polacy nie będą w stanie zagospodarować tych ziem i zostaną one na mapie Europy „białymi plamami". Przytoczone cyfry wykazują bezpodstawność tego argumentu. „Białych plam" nie będzie. Co więcej, Śląsk w granicach państwa polskiego ma większe szanse gospodarczego rozwoju, niż w granicach Niemiec, dla których był okręgiem drugorzędnego znaczenia.

Minionego roku polskiej odbudowy Śląska nie potrzebujemy się wstydzić. Dokonano wiele. Wystarczy porównać wygląd miast dolnośląskich przed rokiem i obecnie. Wrocław na przykład był przed rokiem w takim stanie, że władze wojewódzkie zdecydowały się wybrać na swą siedzibę Legnicę, obawiając się, że we Wrocławiu nie zdołają zakwaterować swych urzędników. Już jednak na jesieni Urząd Wojewódzki przeniósł się do Wrocławia, a dziś zamieszkuje w tym mieście 170.000 ludności, w tym 100.000 Polaków. Czynne są tramwaje i autobusy, prawie całe miasto ma już prąd i wodę. A prezydent miasta oświadcza buńczucznie, że pod koniec bieżącego roku Wrocław będzie w stanie pomieścić około 300.000 mieszkańców.

Nieco mniejsze, ale również znaczne postępy w odbudowie poczyniły inne miasta Śląska.

Kolej i poczta funkcjonują już na Śląsku nie gorzej, niż w reszcie Polski. Również nie gorszy jest stan bezpieczeństwa, mimo fantastycznych plotek, krążących na ten temat w centrum kraju.

A nie trzeba zapominać, że wszystkiego tego dokonano na nieznacznym terenie przy ogromnym braku ludzi i minimalnych kredytach.

Były oczywiście i niedociągnięcia. Były i nadużycia, często na dużą skalę. Były różnego rodzaju złe następstwa, spowodowane dostaniem się nieodpowiednich ludzi na odpowiedzialne stanowiska. Winę ponosi tu w dużej mierze stosowanie t. zw. klucza partyjnego, co w połączeniu z ogólnym brakiem ludzi i nader pochopnym przyjmowaniem nowych członków przez partie polityczne umożliwiło pozbawionym skrupułów jednostkom zajęcie poważnych stanowisk, które traktowali jako popłatne synekury. Na szczęście większość z nich skończyła już swoje „urzędowanie".

Jako najpoważniejsze niedociągnięcie wymienić należy nieudaną akcję siewną. Duże obszary ziemi śląskiej leżeć będą w tym roku odłogiem. W obecnej sytuacji żywnościowej świata jest to karygodne marnotrawstwo.

OŚWIATA I KULTURA

Na terenie województwa Dolno-Śląskiego czynne są następujące ilości szkół polskich:

139 przedszkoli (4.000 dzieci);

ok. 1.000 szkół powszechnych (70.000 uczniów);

ok. 50 szkół średnich (ok. 7.000 uczniów) oraz, na szczeblu najwyższym, Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu (2800 studentów).

Przy dającym się w całej Polsce odczuwać dotkliwym braku sił nauczycielskich osiągnięcia szkolnictwa śląskiego są więc wybitne.

Na szczególne podkreślenie zasługuje ofiarność t. zw. Grupy Naukowej, która zabezpieczyła i uruchomiła wrocławskie uczelnie wyższe. Grupa ta przybyła do Wrocławia razem z walczącymi wojskami. W warunkach nieopisanie trudnych uchroniła ona bezcenny majątek uniwersytetu i politechniki od rozgrabienia i dewastacji, zebrała z okolicy naukowe zbiory biblioteczne, wreszcie szkliła własnoręcznie okna i naprawiała dachy. Dzięki jej wysiłkowi ruszyły w listopadzie obie uczelnie wyższe.

Na Uniwersytecie Wrocławskim szczególnie silnie rozbudowany jest wydział humanistyczny, co ma ogromne znaczenie dla repolonizacji ziemi śląskiej. Grupa profesorów — głównie lwowskich — rozwija ożywioną działalność organizacyjno-naukową. Zapoczątkowano wrocławskie czwartki literackie. Urządzane są powszechne wykłady uniwersyteckie. Rozpoczęto wydawanie poważnego pisma naukowego „Śląsk".

Czynne są na Dolnym Śląsku 2 teatry (objazdowy ze stałą siedzibą w Jeleniej Górze i miejski we Wrocławiu) oraz Opera (we Wrocławiu).

Jak całe Ziemie Odzyskane, cierpi i Śląsk na brak książki polskiej. Większe miasta mają już wprawdzie prywatne wypożyczalnie, ale na wsi jedyną książką polską, jaką można spotkać, jest książka do nabożeństwa.

Nie ma również gazety dla ludności autochtonicznej. Trzy wychodzące we Wrocławiu dzienniki są pismami wybitnie partyjnymi, o niskim w dodatku poziomie. Rozpowszechnianie tych pism wśród autochtonów byłoby błędem nie do naprawienia. Dla tej grupy ludności uzyskanie niepodległego bytu państwowego jest przeżyciem silnym i niepowtarzalnym. Niedźwiedzią przysługę wyświadczyłby polskości ten, kto wciągnąłby tych ludzi w atmosferę niewybrednej demagogii partyjnej. Katowicki tygodnik „Odra" rozumie żądania, stojące przed prasą Ziem Odzyskanych, jest jednak pismem inteligenckim, dla autochtonów niedostępnym. Od dłuższego czasu mówi się o wskrzeszeniu „Nowin Opolskich", dotychczas jednak bez efektu.

Zadziwiający jest brak zainteresowania się Dolnym Śląskiem ze strony literatów. Ludzie pióra są tu rzadkością. A przecież przede wszystkim Ziemie Odzyskane, a nie Kraków i Łódź potrzebują umysłu i pióra literata polskiego.

NIEMCY

Duża część ludności niemieckiej, zwłaszcza inteligencja i aktyw partyjny, uciekła wraz z cofającym się wojskiem przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Część tych uciekinierów, których koniec wojny zastał w strefie okupacji radzieckiej, zaczęła w ciągu lata powracać, korzystając z nieuregulowanej sytuacji granicznej. Z chwilą jednak obsadzenia granicy oddziałami polskimi powrotowi temu położony został kres.

Po początkowym oszołomieniu doznaną klęską i okresie nadskakującej uprzejmości wobec Polaków, Niemcy tutejsi zaczynają być z powrotem sobą. Nie ma jeszcze wprawdzie żadnej zorganizowanej akcji oporu, ale uprawiany już jest cichy sabotaż, szczególnie na odcinku pracy. Z czasem akcja oporu będzie się oczywiście rozszerzać i wzmagać.

(ciąg dalszy na str. 3-ej)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

NIE WSZYSTKO

Policzcie padłych od głodu,
zliczcie zmiażdżonych od strachu,
wykruszcie krew z grudy i piachu,
muru, betonu i lodu.

Zliczcie miliony widm, wszystko:
wargi cmentarzy, kopiarki
i rozpacz i głowę wśród walki
w łańcuchu z bobkowych listków...

Z baraków, szubienic i gleby
przez dziury wysuńcie okien,
topole, ręce wysokie
i bijcie o pomstę do nieba...

Położcie w zielonych rymach
cieniom gałązki lipowe
i gałęziuki jodłowe
na krematoriach i dymach...

Proście dni wrogom spokojnych,
gdy ziemia będzie krwią płacić
i zboża się będą bogacić
co wiosnę z skrzyni tej wojny!

(dok. ze str. 2-ej)

Z polskiego punktu widzenia jedynym racjonalnym rozwiązaniem problemu ludności niemieckiej jest jej wysiedlenie. Zostało to postanowione i uzgodnione z mocarstwami okupującymi Niemcy. Jest obecnie w toku akcja przesiedlania ludności niemieckiej ze Śląska do angielskiej strefy okupacyjnej. Akcja ta przeprowadzana jest w sposób humanitarny i wszelkie zarzuty na ten temat, rozpowszechniane w opinii angielskiej, są tendencyjnym kłamstwem.

Nie wszyscy jednak Niemcy będą mogli być w najbliższym czasie wysiedleni. Część fachowców będzie musiała pozostać dla utrzymania zdolności produkcyjnej przemysłu aż do czasu napływu lub wyszkolenia odpowiednich fachowców polskich.

Jak żyją przebywający jeszcze na Śląsku Niemcy? Różnie. Ci, których dobytek uległ zniszczeniu w czasie działań wojennych, żyją w warunkach dość ciężkich. Reszta, która zachowała swój przedwojenny majątek domowy, pomnożony w czasie wojny „zdobyczą" z całej Europy, żyje całkiem dostatnio. Umożliwia im to armia podróżujących spekulantów polskich, kupująca „na eksport" wszystko, co tylko Niemcy zechcą sprzedać. Szkodliwość działalności tych ludzi jest podwójna. Po pierwsze — umożliwiają oni Niemcom życie za polskie pieniądze, bez jakiejkolwiek pracy. Po drugie — stawiają w nader ciężkiej sytuacji przybywających tu repatriantów, którzy często zastają gołe mieszkania, bowiem zamieszkali tam poprzednio Niemcy zdążyli już wszystko sprzedać. Po trzecie — sposób, w jaki odbywa się ten handel na ulicach i placach publicznych, naraża poważnie na szwank polską godność narodową. Władze miejscowe tolerują ten stan rzeczy, na przekór opinii osiadłej tu i pracującej — za nędznym na ogół wynagrodzeniem — ludności polskiej. Dziesiątki tysięcy szabrowników i spekulantów przewalają się przez Śląsk, a równocześnie ziemia leży odłogiem, bo nie ma rąk roboczych do jej zaorania i zasiania.

PODSUMOWANIE

Podsumowanie roku polskiej pracy na Śląsku daje wynik wybitnie dla nas korzystny. Obszary, przez kilkaset lat brutalnie germanizowane, w ciągu roku stały się z powrotem polskie. Za rok nie będzie tu już ani śladu niemczyzny. Nie będzie również „białych plam" ministra Bevina. Wszystko to stwierdza, że powrót nasz na te ziemie był słuszny i sprawiedliwy i żadne zakulisowe machinacje polityczne nie będą w stanie istniejącego stanu rzeczy zmienić.

MIECZYSŁAW BIERNACKI

Stefan Żeromski w Nałęczowie

W pobratymczych Czechach od dawna już istniała organizacja pod nazwą „Czeska Matice". Mecenas Osuchowski, który zajmował się zakładaniem polskich szkół powszechnych na Śląsku Cieszyńskim, poznał tam ową „Macierz szkolną" i powziął plan stworzenia takiejże ale już Polskiej Macierzy w Królestwie Polskim. Jednocześnie złożył podanie o zatwierdzenie odpowiedniej ustawy. Wbrew naszym przewidywaniom, ustawa ta została zatwierdzona, co się tłumaczy zastraszeniem biurokracji ruchem rewolucyjnym roku 1905-go, który przyniósł zapowiedź zwołania Dumy w Petersburgu, swobody religijne i skasowanie cenzury. Mecenas Osuchowski wyobrażał sobie, iż koła Macierzy, biorąc dobrowolnie na siebie ciężar utworzenia i prowadzenia szkół, powinny opierać się na autonomii. W tej myśli założone zostało również demokratyczne koło Macierzy w Lublinie.

Niebawem dowiedzieliśmy się, że znakomity pisarz Stefan Żeromski założył już koło Macierzy w Nałęczowie. Wysłaliśmy więc tam delegację. Pojechałem ja z doktorem Witoldem Chodźką w celu połączenia obu kół i sprecyzowania naszego stanowiska wobec narodowo-demokratycznego zarządu głównego Macierzy.

Na przeciwko nas wyszedł posuwistym krokiem wysoki przystojny brunet w dużym hiszpańskim kapeluszu i niedbale na ramionach zarzuconej pelerynie, powitał nas wesołym uśmiechem i zaprosił do swej „Chaty", gdzie omawialiśmy sprawy Macierzy. Okazało się, że Żeromski dawno marzył o osobistym nauczaniu włościan polskich i w tym celu starał się nawet o posadę nauczyciela wiejskiego w Małopolsce. A ponieważ odmówiono mu tej posady, to tym bardziej odpowiadało jego pragnieniu utworzenie w Nałęczowie szkoły początkującej dla dzieci, przeważnie włościan i rzemieślników. Przejęci zapałem Żeromskiego postanowiliśmy od razu połączyć koło nałęczowskie Macierzy z lubelskim. Umówiliśmy się odbyć wspólną podróż do Warszawy na ogólne zebranie delegatów wszystkich kół. W Warszawie natknęliśmy się na bardzo wrogi dla nas nastrój.

Były to owe czasy, gdy po chwilowym zwolnieniu ucisku utworzyły się u nas partie spoglądające na siebie z zadziwiającą nietolerancją. I dlatego większość narodowo-demokratycznych delegatów widziała w Żeromskim nie sławę literacką Polski i nie człowieka wielkiego serca, ale członka P. P. S., a więc nieprzyjaciela narodowej demokracji. To też decyzje zarządu głównego Macierzy robiły takie wrażenie, jak gdyby dotyczyły wrogów tej instytucji. O żadnej autonomii nie może być mowy, a kierownikami kół mają być osobistości wyznaczone przez zarząd główny. Napróżno mecenas Osuchowski chciał doprowadzić zgromadzenie do opamiętania, wskazując na cele i zadania Macierzy, a gdy mu się to nie udało, „wbijacie nóż w serce Macierzy" — zawołał z rozpaczą. Wszystko to przeszło jednak bez echa i zacietrzewiona narodowo-demokratyczna masa przegłosowała propozycje zarządu.

Błąkałem się wśród tłumu, czując duży niesmak i instynktownie poszukiwałem St. Żeromskiego. Znalazłem go ukrytego w przedpokoju i głęboko zmartwionego polską niezgodą i zupełnym niezrozumieniem zadań i wielkiej idei Macierzy.

Powróciwszy do Lublina, zebraliśmy w lokalu „Kuriera Lubelskiego" przedstawicieli zarządów P. P. S. i P. D. i po zreferowaniu przebiegu zebrania Macierzy w Warszawie postanowiliśmy odłączyć od niej koła lubelskie i nałęczowskie i stworzyć podobną do niej instytucję oświatową, którą nazwaliśmy „Światłem". Żeromskiego na tym zebraniu nie było, ale umyśliliśmy wybrać go na przewodniczącego tej nowej instytucji, nie wątpiąc, iż tę godność przyjmie. Postanowiliśmy też urządzić wielkie zebranie, aby ten bunt przeciwko zarządowi Macierzy uzasadnić i uzyskać aprobatę naszych zwolenników. Bunt ten przeciwko Macierzy był krokiem bardzo śmiałym i bardzo nieprzyjemnym. Bo chociaż do buntu tego doprowadziła Narodowa Demokracja przez swe zupełne niezrozumienie istoty Macierzy i sposobu jej działania oraz przez chęć zrobienia z tej instytucji placówki partyjnej, to jednak walka ta powiększała jeszcze nieszczęsną nienawiść partyjną, już poprzednio wypielęgnowaną przez ciągłe dziennikarskie walki.

Zebranie w Lublinie, w sali muzycznej gmachu teatralnego, było bardzo liczne. Proklamowało z entuzjazmem utworzenie „Światła" jako placówki demokratycznej w przeciwstawieniu do narodowo-demokratycznej Macierzy. Zebranie wybrało Żeromskiego prezesem tej instytucji, ja zaś zostałem wiceprezesem. Żeromski wiedząc o projektowanym wyborze na zebranie nie przyjechał, gdyż nie chciał, aby jego obecność krępowała zebranych. Zarząd główny „Światła" zorganizował się w Nałęczowie pod przewodnictwem prezesa St. Żeromskiego, który kierował nim z takim przejęciem się i zapałem, że wkrótce, olśnieni tym naprawdę błyszczącym światłem, pokochaliśmy go wszyscy głęboko i serdecznie. Za własne pieniądze wybudował on szkołę „Światła" ze wspaniałą werandą.

Zrozumieliśmy wówczas jego nadzwyczajny kult dla Mickiewicza, wyniesiony z Rapperswilu. Będąc tam bibliotekarzem miał do swej dyspozycji bibliotekę przekazaną temu muzeum jeszcze przez dawną emigrację polską w Paryżu; mógł więc zaczerpnąć ducha romantycznego partriotyzmu polskiego z pierwszego źródła. Te lata spędzone w Rapperswilu dały Żeromskiemu więcej korzyści, niż uczęszczanie do studia uniwersyteckie w tym kierunku.

Pieniądze na budowę szkoły czerpał przeważnie z honorariów za „Dzieje Grzechu", która to powieść cieszyła się wówczas nadzwyczajnym sukcesem. Dowiedziawszy się, iż firma Gebethner i Wolff wydrukowała większą ilość egzemplarzy tej powieści i trzyma je w piwnicach, rezerwując dla ewentualnych przyszłych wydań, zażądał Żeromski od wysłannika Gebethnera większego honorarium za drugie wydanie niż za pierwsze, przeznaczając te pieniądze na dokończenie budowy szkoły. Wysłannik Gebethnera zauważył, iż chociaż Żeromski cieszy się obecnie nadzwyczajną sławą, to jednak nie powinien się przez to zbyt wysoko cenić, gdyż nawet Mickiewicz jest towarem, który obecnie bardzo słabo idzie. Po tych słowach Żeromski opuścił pokój, dostał gorączki, położył się do łóżka i rzekł do swej żony: idź, Okciu, do tego pana od Gebethnera i ułóż się z nim jakoś co do drugiego wydania „Dziejów Grzechu", gdyż ja z takim osobnikiem, dla którego Mickiewicz jest towarem, mówić nie jestem w stanie. Ten nadwrażliwy człowiek miał wiele do zniesienia za każde swoje wystąpienie przeciwko krzywdzie ludzkiej. I tak po wydrukowaniu w Krakowie broszury o Bandosie, lubelskie zjednoczenie ziemian nie tylko go szykanowało, ale nawet od polskości odsądzało. A gdy w „Dziejach Grzechu" opisał krzywdę kobiety wyzyskiwanej i pogrążanej coraz niżej przez wszystkich mężczyzn, to pewna energiczna dama wileńska przyjechała doń, by go pobić parasolem „za poniżenie kobiety polskiej". Oczywiście te występy czytelników świadczyły tylko o niezrozumieniu wysokiego polotu Żeromskiego i jego intencji bronienia pokrzywdzonych. Ale za to u literatów cieszył się Żeromski bezwzględnym uznaniem. To też podczas letnich wakacyj zjeżdżano się do niego jak do niekoronowanego króla literatów polskich. Bawił w Nałęczowie zawsze Bolesław Prus i Gustaw Daniłowski, przyjeżdżała wówczas młoda utalentowana autorka Nałkowska, przyjeżdżał Adolf Nowaczyński, o którym Żeromski powiedział: „jaka szkoda, że tak wielki talent jest połączony z tak marnym charakterem".

Jako prezes „Światła" chciał Żeromski powiększyć jego działalność przez urządzanie zjazdów włościańskich w Puławach, gdzie w świątyni Sybilli można by było urządzić sanktuarium polskich pamiątek, a w parku znaleźć dość miejsca dla prelekcyj i pogadanek. Korzystając z łagodniejszego nastroju władz administracyjnych, wysłał już Żeromski podanie o odstąpienie „Świątlu" świątyni Sybilli, lecz czasy się zmieniły i do tego już nie doszło. Ale zato w Nałęczowie, w dużej ciemnej szopie, która stała obok szkoły „Światła", odbywały się prawie co tydzień odczyty różnych literatów, a także innych osób. Niezależnie od tego rozwijała się pomyślnie szkoła, dzięki ofiarnej pracy i dobrym chęciom wielu nauczycieli i nauczycielek. Żeromski wykładał w tej szkole historię i geografię Polski. Doczekał się więc nareszcie momentu, iż sam osobiście mógł wykładać dzieciom włościan i rzemieślników to, co w nich chciał najbardziej wpoić, to jest ukochanie kraju i historii Polski.

Przebywało wówczas w Nałęczowie tak dużo osób ze świata literackiego, że Żeromski mógł sobie dobrać zespół do występów teatru amatorskiego. Przejął się tak tą sprawą, iż zaczął sam pisać sztuki dramatyczne, coraz to lepsze, aż do jego arcydzieła: „Uciekła mi przepióreczka". Żeromski był przeciwny wystawianiu łatwych a marnych sztuk przeznaczonych dla teatrów amatorskich. Był zdania, że sztuki o wysokim poziomie artystycznym, jak na przykład sztuki Wyspiańskiego, daleko łatwiej wzbudzą zapał i fantazję nawet dyletantów. Pobudzone tymi myślami odegrało lubelskie koło „Światła" po raz pierwszy w Królestwie „Wesele" Wyspiańskiego z doskonałym rezultatem. Przez długie lata jeszcze wszyscy, którzy brali udział w tym przedstawieniu, wspominali z rozrzewnieniem zarówno próby jak i kilkakrotne, na żądanie publiczności, powtórzenie przedstawienia.

To bujne, w tylu kierunkach rozwinięte życie nałęczowskiego „Światła" miało się jednak tragicznie zakończyć. Zawezwany przez Żeromskiego jako lekarz do Nałęczowa, przyjechałem i zastałem jego syna Adasia leżącego w Chacie w agonii, wywołanej przewlekłą gruźlicą płuc. Gdyśmy wracali wśród rozkwitłych czereśni z Chaty do willi „Oktawii", dowiedzieliśmy się, iż matka Adasia p. Oktawia dostała napadu ostrej psychozy, tak że Żeromski nie miał odwagi wejść do willi. Nie widziałem nigdy tak zrozpaczonego człowieka. W jakiś czas potem mówił mi, że ze śmiercią Adasia skończyła się jego kariera artystyczna i że nie przypuszcza, by kiedykolwiek mógł jeszcze coś dobrego napisać. Naprzeciwko okien Chaty wybudował wysokie gotyckie mauzoleum, gdzie umieszczono trumnę Adasia. Pozostawił też tam miejsce dla siebie i dla swej żony, niezadługo jednak policja carska zmusiła go do opuszczenia Nałęczowa. Z początku udał się do Warszawy, później do Krakowa, a wreszcie do Florencji i Paryża. Po powrocie do kraju zamieszkał w Konstancinie pod Warszawą.

Jest jedna sztuka Żeromskiego, która przypomina wielu szczegółami jego życie z czasów „Światła" w Nałęczowie, a jest nią wspomniana wyżej „Uciekła mi przepióreczka". Nie tylko dlatego, że w tej sztuce chodzi o założenie kursów nauczycielskich, tak jak to było projektowane w Nałęczowie. Nie tylko ze względu na motyw książęcego zamku, którym miała być świątynia Sybilli w Puławach. Ani nie wyłącznie ze względu na zebrania profesorów, które, coprawda mocno zmienione, przypominają posiedzenia zarządu głównego „Światła". Ale przede wszystkim to pozorne obniżenie polotu Przedpełskiego w zakończeniu „Przepiórecźki" da się wytłumaczyć dwuznacznym położeniem Żeromskiego, który dla celów społecznych musiał paktować z panującymi prądami. Ostatecznie słowa Przedpełskiego: „uciekła mi przepióreczka" mogą się też stosować do Żeromskiego, gdyż po wyjeździe z Nałęczowa cały ten okres jego życia wraz z marzeniami o uczeniu wiejskich dzieci stał się już tylko wspomnieniem. Zakończył się też i pomyślny rozwój „Światła" w Nałęczowie. Żeromski zestawił artystycznie swój ból z utraty całego dorobku nałęczowskiego ze zmartwieniem chłopa wiejskiego, gdy mu ucieknie przepióreczka.

NARCYZ ŁUBNICKI

MATERIALIZM A IDEALIZM

(Stanowiska etyczne)

„PADAJĄCEGO POPCHNIJ"

Materializm w tym znaczeniu to **nihilizm** etyczny, polegający na negacji istnienia jakichkolwiek obiektywnych, absolutnych wartości moralnych: dobra, słuszności, sprawiedliwości. Miłosierdzie i miłość bliźniego są tylko frazesem. Prawo silniejszego — to jedyna podstawa stosunków międzyludzkich. Tradycje, wierzenia, objawienia, autorytety — bzdura, bajka. „Fais ce que voudras", jak mawiał nieboszczyk Rabelais.

Literatura światowa, zwłaszcza rosyjska, obfituje w typy nihilistów. Bazarow Turgieniewa, Marek Wołochow Gonczarowa, Sanin Arcybaszewa, u nas Homo Sapiens (Falk) i „Mocny człowiek" Przybyszewskiego — to przedstawiciele nihilizmu etycznego.

Na przestrzeni dziejów spotykamy nihilizm w różnych postaciach. W starożytności sofiści głoszą względność i subiektywność wszelkiej wartości moralnej i logicznej, dowodząc kolejno rzeczy sprzecznych i działając jedynie pod wpływem chwilowych zachcianek. W okresie odrodzenia Machiavelli naucza, że potęga militarna, spryt i podstęp są najskuteczniejszymi środkami panowania i że władca nie musi liczyć się z takimi przesądami jak wyrzuty sumienia, zasady moralności lub dobro obywateli.

W końcu XIX wieku Fryderyk Nietzsche obleka w subtelną teorię filozoficzną brutalną zasadę prawa pięści. Moralność chrześcijańska, etyka miłosierdzia i litości, jest moralnością niewolników, odwołujących się umyślnie do takich cnót, które faworyzują ludzi słabych. Nietzsche widzi w chrystianizmie współczesnym podstępny bunt niewolników, starających się narzucić panom wygodną dla siebie wiarę. Zgniłej S k l a v e n m o r a l przeciwstawia on dostojną H e r r e n m o r a l, moralność panów, która stoi ponad dobrem i złem, dla której nie istnieje żaden hamulec etyczny. „Padającego popchnij" — oto zasada, która według Nietzschego i jego zwolenników powinna zastąpić służalczą zasadę chrześcijańską „głodnego nakarm, znużonemu daj spoczynek".

Wiemy, jak pełną garścią czerpali ze skarbnicy duchowej Nietzschego filozofowie hitlerowscy z Alfredem Rosenbergiem na czele, sławiąc bezwzględność i okrucieństwo rodzimej „b l o n d — b e s t i i" i depcząc wszelkie prawa do życia innych narodów.

„PIES BOGÓW"

Materializmowi etycznemu, pojętemu jako nihilizm, przeciwstawia się idealizm etyczny, który możnaby nazwać **normatywizmem**. Według tego poglądu istnieje obiektywnie bezwzględny układ wartości moralnych, obowiązujący każdą jednostkę i wszelką zbiorowość ludzką.

Już Sokrates nauczał, że Dobro nie jest przypadkowym pożytkiem lub chwilową przyjemnością, lecz jest czymś bezwzględnym i niezmiennym, jest wartością najwyższą, o której informuje nas nieomylnie nasze bóstwo wewnętrzne, Daimonion (sumienie). W końcu XVIII wieku Immanuel Kant stwierdza tkwiący (jak się wyraża) w piersi każdego człowieka „imperatyw kategoryczny", bezwzględną zasadę postępowania moralnego, powszechnie i nieodwołalnie obowiązującą każdą jednostkę, a głoszącą (niezbyt różniąc się od podstawowej zasady obu Testamentów): „postępuj tak, jak chcesz, żeby postępowali wszyscy".

Idealizm etyczny (normatywizm) wyznaje każda wielka religia, więc oczywiście chrystianizm. Ale w przeciwieństwie do poglądów Sokratesa i Kanta, dla których miernik wartości moralnej tkwił w jednostce ludzkiej, wielkie religie głoszą, że dobro jest objawione przez Boga i przez Niego przykazane z żądaniem bezwzględnego posłuszeństwa ze strony ludzi. Uzależnienie moralności ludzkiej od woli boskiej doszło w chrystianizmie średniowiecznym takiego stopnia, że powstał nawet pogląd (d o c t o r i s s u b t i l i s s i m i Dansa Scota w wieku XIII i scotystów), że od woli Boga zależy uznanie dobra za zło i zła za dobro, i gdyby Bóg zechciał dokonać „przewartościowania wartości", człowiek bezwzględnie zły byłby bezwzględnie dobrym — i vice versa. Jeszcze drastyczniej wyraża stosunek bezwzględnej zależności moralnej człowieka od mocy zewnętrznych religia fenicka w lapidarnej formule: „człowiek jest psem bogów".

IDEALISTYCZNE RODZYNKI W MATERIALISTYCZNYM CIEŚCIE

Jest rzeczą zastanawiającą, że materializm dialektyczny, pomimo swej sztandarowej nazwy, jest idealizmem pod względem etycznym. Nie solidaryzuje się on z relatywizmem sofistów, machiavellistów czy nietzschean, rozpatrujących wartości moralne jako względne i zmienne, zależne od każdorazowej postawy uczuciowej i celów osoby działającej. Przeciwnie, podkreśla on z naciskiem, że istnieje dobro bezwzględne i sprawiedliwość bezwzględna jako ostateczna granica zamierzeń i działalności ludzkiej. Ten idealistyczny charakter jednego ze składników materializmu dialektycznego być może mniej nas będzie dziwił, gdy przypomnimy sobie, że już spotykaliśmy w innym kontekście podobne zjawisko. Omawiając zagadnienie t. zw. materializmu i idealizmu życiowego *), doszliśmy do wniosku, że twórcy materializmu dialektycznego Karol Marx i Fryderyk Engels byli idealistami życiowymi. Zestawiając te dwa wyniki, przekonywamy się, że wulgarne globalne przeciwstawienie materializmu idealizmowi nie wytrzymuje prób analizy i krytyki. W dalszym ciągu będziemy mieli inne tego dowody.

Istnieje jednak niewątpliwie i materialistyczny ton w etyce marksistowskiej. Jest nim u t y l i t a r y z m (pogląd, wyznawany nie tylko przez materialistów dialektycznych). Sprowadza on ideę dobra do pojęcia pożytku; do tegoż pojęcia sprowadza idee piękna i prawdy. Klasycznie zasadę utylitaryzmu sformułował na przełomie XVII i XVIII wieku Jeremy Bentham: dobre jest to, co daje największy pożytek (w granicznym przypadku — szczęście) jak największej liczbie ludzi. W zasadzie tej powraca starożytna antropocentryczna myśl Protagorasowa: „człowiek jest miarą wszystkich rzeczy". Doktrynę utylitaryzmu podjął i rozwinął w połowie XIX wieku jeden z najwybitniejszych filozofów angielskich John Stuart Mill, a w Rosji spopularyzował ją Mikołaj Czernyszewski, rewolucjonista i pisarz społeczny niezmiernie ceniony przez Lenina.

Pogląd utylitarystyczny, jako materialistyczny, niełatwo daje się pogodzić z normatywizmem, będącym swoistym idealizmem, jednakże w doktrynie materializmu dialektycznego oba te poglądy tworzą szczególną symbiozę.

ARYMAN MŚCI SIĘ...

Poszukując rozwiązania kontrowersji materializm (nihilizm) — idealizm (normatywizm) w etyce, warto rozważyć stanowisko **autonomizmu etycznego**, opartego o zasadę **sympatii**.

Zwolennicy tego poglądu twierdzą wraz z nihilizmem, że wartości moralne nie są dane w sposób absolutnie obowiązujący „od zewnątrz": ani przez objawienie, ani przez wychowanie. Mechaniczne bowiem przyjęcie gotowych zasad moralnych nie byłoby wcale moralne; byłoby tylko jednym z aktów tresury. Moralność heteronomiczna idealistów, ujęta w klamry narzuconych norm, nie jest godna człowieka. Po to, by człowiek działał istotnie moralnie, powinien on s a m dorabiać się zasad etycznych, kształtować samodzielnie swój światopogląd moralny, nie licząc się z tradycją i autorytetem, a wyłącznie z własnym wolnym sumieniem.

Z drugiej strony jednak kult brutalności i pogardy dla słabych, uprawiany przez większość nihilistów, dyskwalifikuje i ten kierunek, gdyż uniemożliwia harmonijne życie społeczne. Jednostka, pragnąca uzyskać szczęście w środowisku społecznym (a szczęścia odosobnionego na dłuższą metę nie ma), powinna zrezygnować z fałszywej drogi pychy i pogardy dla innych jednostek — jakikolwiek dystans by je od niej dzielił, — powinna rozwijać i realizować uczucie s y m p a t i i i ż y c z l i w o ś c i, tkwiące, jak wykazuje psychologia współczesna, u źródeł uczuciowości człowieka.

Zwłaszcza ten kierunek „psychologii głębi", który nosi nazwę p s y c h o l o g i i i n d y w i d u a l n e j, zajął się systematycznym wykazaniem tego, jak dalece fałszywe ambicje, nienawiść, pycha i okrucieństwo powodują psychonerwice jednostek, nie będących w stanie zrealizować swych nienasyconych na tej drodze dążeń do mocy.

Neron, zabijający swego przyrodniego brata, własną matkę, własną żonę i niezliczoną ilość dworaków, nie powiększył tym swego poczucia mocy, lecz przeciwnie — osłabił je. Dowodem tego był ciągły jego strach przed odwetem — strach niebezzasadny, skoro musiał zabić się w czasie buntu legionów. Podobnie wraz z wyrafinowanym okrucieństwem Tyberiusza rosło nie jego poczucie mocy, lecz przeciwnie — chorobliwa, męcząca podejrzliwość. Nie pomogła ucieczka na Capri. Rozpaczliwie oczekiwany odwet nastąpił niechybnie: Tyberiusz został uduszony przez własnych pretorian.

Cała historia ludzkości okazuje niezbicie, że okrucieństwo — niezależnie od racyj teologicznych — „nie popłaca". Dalszymi dowodami tej prawdy są dzieje Kaliguli, autora słynnej zasady „oderint dum metuant" („niech nienawidzą, byle by się bali"), zabitego przez trybuna Chereasa, — lub Iwana Groźnego, zabijającego własnoręcznie syna i męczonego przez całe życie krwawymi widmami zamordowanych.

Nie bez słuszności zauważono, że gdyby polityka Hitlera wobec podbitych narodów nie była przepojona nienawiścią i bestialską żądzą wyniszczenia, lecz oparta na szczerej chęci współpracy w „Nowej Europie", nie zmobilizowałaby przeciwko sobie tak zdecydowanie i jednolicie gotowych na wszystko społeczeństw zmiażdżonych państw. Znana jest rosnąca z każdym dniem okrutna podejrzliwość Hitlera, wyrażająca się w wymordowaniu najbliższego otoczenia — począwszy od generała Roehma (u punktu wyjścia karkołomnej kariery), skończywszy na najwybitniejszych marszałkach, zasłużonych w zwycięskiej fazie wojny. Ta koszmarna, nękająca mania prześladowcza miała zresztą dostateczne podstawy w wybuchających raz po raz spiskach i zamachach na bezwzględnie i okrutnie rządzącego führera, odpowiedzialnego za obozy koncentracyjne i potoki przelanej krwi tylko „wobec Boga i historii".

Niekoniecznie trzeba przyjąć mistycznie, że na nieludzkich okrutnikach mści się Nemezis dziejowa lub że Opatrzność boska zgotowała im odwet. Można ograniczyć się do naukowego, naturalnego wyjaśnienia klęsk okrutnika na podstawie psychologicznej. Nienawiść i okrucieństwo nie tylko wzbudzają nienawiść i ciągłe zagrożenie ze strony otoczenia, kończące się najczęściej zabójstwem. One żądlą także świadomość samego tyrana stałą koszmarną obawą zemsty ze strony pokrzywdzonych — i w tym leży najpewniejszy naturalny odwet, niszczący życie ludzi okrutnych.

Tylko głęboka sympatia dla otoczenia bliższego i dalszego, życzliwość i solidarność we współpracy z coraz szerszymi kręgami ludzkości potrafi dać prawdziwe moralne zadowolenie człowiekowi, gdyż jego indywidualna ambicja, tak boleśnie i nieżyczliwie wrażliwa na każde powodzenie innego człowieka, przekształca się na ambicję wspólnoty, umacniającą się radośnie przy każdym postępie współpracownika.

Widzimy, że psychologia indywidualna nie opiera działalności ludzkiej na zewnętrznych bezwzględnie narzuconych zasadach moralnych, lecz wyprowadza je na podstawie głębokiej analizy psychologicznej z natury ludzkiej jako regulator i rękojmię możliwego szczęścia człowieka.

*) Por. „Materializm a idealizm" w Nr. 11 „Zdroju".

EDWARD MARTUSZEWSKI

Historia czy krytyka literatury

Dante, Petrarca, Boccacio, Macchiavelli, Ariosto, Tasso, Goldoni, Pirandello.

Każda z tych gwiazd świeci na niebie literatury włoskiej odrębnym, oryginalnym światłem. Każde z tych nazwisk jest symbolem. Różnice między pierwszą trójcą uchwycić można najlepiej, gdy spojrzymy na ich twórczość z punktu widzenia ich stosunku do kobiety. Zacznijmy chronologicznie od końca.

Kobieta w „Decameronie" Boccacia jest kobietą z krwi i kości, namiętną, równą mężczyźnie. Laurę Petrarki wyobrażamy sobie również jako żywą, istniejącą kobietę, lecz nieco sztywną w swej cnocie i uczciwości, milczącą, pozwalającą pisać wiersze o sobie, ale na tym i koniec łask kobiecych. Natomiast Beatrice to już nie istota z tego świata, lecz symbol, liryczny świat mistycznych obrazów, filozoficzny płód wyobraźni rozegzaltowanego mężczyzny.

„Boska Komedia" jest olbrzymią konstrukcją myślową (którą nam łatwiej podziwiać niż zrozumieć), sonety Petrarki — morze wielu drobnych fal, naogół spokojne, delikatnie zabarwione promieniami życiodajnego słońca, przefiltrowanymi przez obłoki niebieskie. „Decameron" to życie, bujne życie, wyłamujące się z klasztornych murów.

„Principe" jest znowu konstrukcją myślową, będącą taką samą kropką nad „i" życia Renesansu, jaką „Boska Komedia" była w stosunku do życia średniowiecznego. „Orlando Furioso" przenosi nas w całkiem inny świat — świat nieskrępowanej fantazji, uśmiechającej się z lekka ironicznie, unoszącej się nad życiem, jak motyl przelatujący z kwiatu na kwiat unosi się nad ziemią. Z „Jerozolimą Wyzwoloną" wchodzimy na całkiem inną płaszczyznę. Nawrót do wiary, która zdaje się być raczej emanacją woli, pozbawionej dziecięcej ufności, refleksje, lecz już nie na temat piękna i „sztuki dla sztuki" (mimo obracania się w świecie fantazji), ścieranie się różnych pierwiastków sprzecznych ze sobą — symbol duszy człowieczej niespokojnej, tęskniącej, przeczuwającej istnienie czegoś, co nie da się objąć zmysłami.

Goldoni — rezygnacja z górnych lotów, dostosowanie zamiarów do sił, powrót do naturalności życia codziennego, umiarkowanego, spokojnego. Pirandello to nowy rzut myślowy, zasadniczo różniący się od Dantego i Macchiavellego — tak jest, jak wam się wydaje.

Podziwiając najsilniej świecące gwiazdy na niebie literatury włoskiej, spostrzegam, że ... między historią a krytyką literatury istnieje „przepaść", której się zazwyczaj nie ocenia należycie. Dante, Petrarka, Boccacio, Macchiavelli, Tasso, Ariosto należą wprawdzie do literatury podobnie jak Goldoni i Pirandello, lecz utwory ich zainteresują jedynie szczupłe grono miłośników, którzy otrzymali odpowiednie przygotowanie, umożliwiające im należytą ocenę. Między literaturą „współczesną" (do której zaliczyć można również utwory powstałe kilkadziesiąt lat temu) a literaturą „przeszłą" istnieje rozdział, sprawiający, że musimy przyjąć **dwie różne postawy** w stosunku do każnej z nich. W ocenianiu poszczególnych utworów każdej z tych dwu literatur, powinny więc być zastosowane dwie różne miary, podejście do nich powinno być zasadniczo różne. **Literaturą „przeszłą" powinna zająć się wyłącznie historia,** dostarczając krytyce dydaktycznych przykładów (wyjątki potwierdzają regułę). Wyjście z takich założeń wykluczyłoby w wielu wypadkach nieporozumienia, wypływające z przesadnego i nieumiejętnego porównywania utworów współczesnych z utworami minionych wieków, z utworami t. zw. klasycznymi. Dlaczego wymagać niemożliwości: życia u ekshumowanych, a patyny wieków u żyjących?

Wziąłem za przykład literaturę włoską, choćbym mógł wziąć jakąkolwiek inną. Każda z nich rozpada się na dwie części; w jednej przewodniczką jest historia, w drugiej krytyka. **Przesadne, szczegółowe analizowania utworów literatury „przeszłej"** (np. „Storia della letteratura italiana" F. de Sanctis) **jest również szkodliwe jak mierzenia miarą „klasyczności" utworów literatury „współczesnej".** Pierwszym nasza krytyka nie pomoże ani nie zaszkodzi, drugie same, z biegiem czasu, wyselekcjonują się do miana „klasycznych", bez względu na nasze proroctwa w tym względzie.

„Miara Fidiasza" jest w większości wypadków fata morganą artysty, wodzącą go po manowcach sztuki. „Miara Fidiasza" jako miara krytyka w jego pracy, to wypaczanie normalnego swobodnego życia artystycznego.

Zaiste, **łatwiej tchnąć życie w ekshumowane dzieło literackie, niż nadać patynę wieków — żyjącemu.**

ROMAN BRATNY

Piosenka o złym przeczuciu

Bóg o nas myśli — codzień widzisz,
jak chyli nisko nieba skronie
w cierniowych drutów koronie —

Jak Twe ciało zdołałbym udźwignąć,
gdy nagle na wieki ucichło —
gdyby poszło ode mnie w ziemię,
a Twa dusza wysoko ku niebu.

Przeczucie!
Ty pójdziesz duszą, Ty pójdziesz górą,
a ja niedolą —

Ale wiem, że obrączka ciężka,
bo ze stali kolczastych drutów,
rdzawym cieniem skuła nam ręce
na niedolę, na radość i smutek —

Ale wiedz — choćbym sam pozostał,
gdy na ziemi wystygnie Twój ślad,
tak, jak z dłoni, gdy trzeba się rozstać,
ginie ciepło kochanych rąk.

Choćby nawet — udźwignę Twe ciało,
gdyby nagle na wieki ucichło.

Przeczucie!
Ty pójdziesz górą, Ty pójdziesz górą,
a ja niedolą
do Ciebie wrócę —

Bóg o nas myśli — codzień widzisz,
jak chyli nisko niebo skroń
w cierniowych drutów koronie —

Ty pójdziesz duszą, Ty pójdziesz górą,
a ja niedolą
do Ciebie wrócę —

Lamsdorf, 6.12.44 r.

ROMAN BRATNY

Pamięci zdechłych poematów

kolejarzom kolegom.

Z dna nocy narodowej
z ręczną latarką, z zepsutą żarówką
wyjść chciałem z pistoletem maszynowym
na ramieniu duszy.

Dlatego bywałem ponury:
latarka popsuta, zardzewiały nagan...
ale teraz to was wszystkich przepraszam,
kiedy już Polskę na oczy wzułem.

Pamięci zdechłych poematów, jak również
pamięci tamtych lat wysiłku bojowego
poświęcić chcę zamiast wierszy ponurych
pozdrowienie kolejarzom — kolegom.

Oto opowieść o zdartych kołach
naszego transportu kolejowego...
zelówki zdarte chodzeniem, obcasy zcięte w półkola —
to pozostaje z marszu strudzonego,

gdy się obejrzysz wstecz.
Chyba i stan taboru
— a tabor kolejowy to wielka rzecz! —
ze zniszczeń wynika, z ciężarowego moru

tamtych sześciu wojennych lat:
pociągów ciężarowych łun i niedoli człowieczej.
Więc jeśli źle,— myślałem,— pracować! — myślałem — aż kraj
zobaczysz znów olbrzymi przez dziurkę biletu!

Aż transport ruszy! Dziś wagonów brak.
Pytałem żywych, czemu — żaden nie powiedział.
Może powiedzą mi zdechłe wiersze z tych lat,
o co bilem się ponury wtedy,

jak nie o Polskę żywą, na milionach kół
wylatującą w przestrzeń swojego obszaru?!
Tabor kolejowy za mały.
Wiersz powstał ponury znów.

STEFAN KAWYN

Mickiewicz-zabójca poetów

Wielką sensacją w polskim świecie literackim stały się dwa pierwsze tomy poezyj Mickiewicza. Zdumiały się salony wielkopańskie, przywykłe do francuszczyzny, że „można coś tak pięknego napisać po polsku". A tymczasem w przedpokojach pokojówki, garderobiane, lokaje zaczytywali tomiki Mickiewiczowskie, w których odnajdywali — nie uczoną poezję klasyków — ale świat dostępny ich pojęciom, styl i język pełen realizmu, prostoty, serdeczności. Dostojni klasycy z Koźmianem na czele drwili sobie z tej demokratycznej popularności wieszcza z puszcz litewskich, ale na twórcze przeciwstawienie się Mickiewiczowi zdobyć się nie potrafili. Młódź poetycką z wyraźnymi oznakami uwielbienia rzuciła się do pisania ballad na wzór Mickiewiczowskich. Przewalała się po całej Polsce literackiej fala balladomanii. Za nią sunęła inna, równie znamienna: fala gustawomanii; zaroiło się — zarówno w poezji jak i w życiu — od bladych młodzieńców z sercem skrwawionym z powodu miłości nieszczęśliwej.

Później, gdy w r. 1827 ukazało się we Lwowie „szabrowane" wydanie „Sonetów", rozeszła się po całym kraju epidemia sonetomanii. Świetny dyrektor teatru lwowskiego, ale lichy literat, Jan Nepomucen Kamiński, z zuchwałości swej grafomańskiej założył się, że w ciągu 48 godzin napisze sto sonetów, lepszych nawet od Mickiewiczowskich. Zakład wygrał, setkę wierszydeł napisał, ale Mickiewicza w kunszcie sonetotwórczym nie przewyższył.

Oto garść przykładów, z których widać, że dzieło Mickiewicza owładnęło odrazu wyobraźnią różnych warstw społecznych, stworzyło własny krąg czytelników, a nade wszystko pobudziło różnych osobników do zajęć literackich, a tym samym wzbogaciło pod względem ilościowym literaturę polską.

Przykład Mickiewicza świadczy o tym, że dzieło wpływowego autora może pomnażać literaturę swego kraju, a także literatury innych narodów przez to, iż ośmiela, poddaje wzór koncepcyj, sposobów wykonania, wyzywa innych poetów — mniejsza o to: rzetelnych czy grafomanów — w zapasy, do naśladowania choćby, często dokonując w ich stylu przełomu zasadniczego. Takiego poetę - mistrza historia życia literackiego słusznie nazywa „ojcem literatury", bo od niego poczyna się życie okresu literackiego, epoki, prądu, rodzaju sztuki, stylu; od niego biją siły żywotne, które starczą na kilka nawet pokoleń literackich. Takie miano rodzicielskie otrzymał Mikołaj Rej, Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz. Taką rangą czci uważna potomność nawet pisarzy mniejszego lotu w przypadku, gdy dali początek jakiemuś nowemu zjawisku sztuki literackiej: oto wielebny ks. Bohomolec został „ojcem komedii polskiej".

Częste to — jak widać — przypadki. Nie słychać natomiast często w dziejach życia literackiego, by jakiś poeta stał się... zabójcą innych poetów, sprawcą ich śmierci, t. zn. zmusił ich do milczenia. A jednak i to się zdarza. I Mickiewicz sam może do końca życia nie wiedział, że obarczył się jednym zabójstwem, o którym kronika literacka wspomina; a może dokonał ich więcej?

Znany był na Wołyniu i Podolu w pierwszych dziesiątkach XIX stulecia Stanisław Doliwa Starzyński, pisujący pod pseudonimem Stacha z Zamiechowa lub Stacha Doliwy, autor popularnych ongiś piosenek i wierszy, które w licznych odpisach kursowały po całej, bliższej i dalszej, okolicy. Były to robótki literackie sentymentalne, w stylu klasycznym, nie pozbawione nawet pewnego wdzięku.

Część ich — drobna — ujrzała światło dzienne w tomiku pod prostym tytułem: „Śpiewki i wiersze Podolanina"; reszta w ogromnym stosie zalega do dziś magazyny rękopisów lwowskiego „Ossolineum".

Nie był to jednak klasyk czystej krwi. Czcigodny Korbut zalicza go do „klasyków umiarkowanych", do tych, którym podobały się ekstrawagancje stylu romantycznego. Nasz Doliwa zerkał również w stronę „strasznego dworu" romantycznego i swe klasyczne pióro hańbił pisaniem... ballad. Nie wyszło to na zdrowie poecie. Zdarzyło się bowiem tak, że jesienią 1823 r. przebywając w Berdyczowie na jarmarku kupił w wędrownej księgarence pierwszy tom poezyj Mickiewicza. Przeczytał i... zmartwiał, poczem wpadł w oburzenie. Towarzyszący mu w czasie lektury Franciszek Kowalski, pierwszy w Polsce tłumacz całego Moliere'a, tak opisuje w swym pamiętniku tę scenę zabawną: „Odczytawszy Świteź potem Świteziankę, Doliwa zawołał do mnie: „Czy słyszałeś lub czytałeś coś podobnego? — A niech go.. to rozbójnik, to zabójca. Powiadam ci, to rozpacz, desperacja wszystkich poetów, wszystkich jak my wierszorobów!... Wydarł mi pióro z ręki! Nie, nigdy w życiu nie będę pisał ballad!... Byłbym głupi!... A niech go wszyscy diabli!..." To mówiąc, porwał się z krzesła, skoczył na środek izby i książkę cisnął o podłogę... „Czy go licho skądyś, gdzieś tam na Litwie, w puszczach litewskich wydarło i tu zaniosło?! Wszystkich poetów zabił, zamordował, obrabował... Nie będę, na złość mu nie będę pisał ballad!" Potem schylił się, podjął książkę, całował ją, przepraszając za swe uniesienie, przyciskał do swego serca i zabierał się do dalszego czytania:

A kiedy nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą, gwiazdy pod tobą
I dwa zobaczysz księżyce.

„Co za poezja!... co to za obraz!... każdy z nas widzi gwiazdy, widzi księżyc, a nikomu dotąd nie przyszło na myśl odmalować tak pyszny obraz! To rozbójnik ten Litwin, wydarł mi pióro z ręki. Ale poczekaj, zrobię ci figla!..." — „Jakiego, — zapytałem, — utniesz zapewne lepszą balladę?" — Gdzie tam, o tym ani myśleć! Ale jak przyjadę do domu, natychmiast wrzucę w ogień i popalę wszystkie moje ballady, a jemu na złość poślę popiół z moich ballad, przez pocztę do Wilna, i niech się cieszy ze swego zabójstwa!"

Czy zemstę wykonał, o tym pamiętnik milczy. Faktem jest jednak w historii literatury stwierdzonym, że Stanisław Doliwa Starzyński ballad już nie pisał: zląkł się szczytów kunsztu pisarskiego Mickiewicza, uznał swą nieudolność, zrezygnował z twórczości. W tym dobrowolnym akcie rezygnacji kryje się i dziecinny nieco żal poety i podziw i uwielbienie dla mistrzostwa poezji Mickiewiczowskiej i cześć dla jej twórcy.

Cześć ta znalazła nieoczekiwany wyraz w określeniu Mickiewicza jako „zabójcy poetów".

Można — jak się okazuje — chwalić wielkich mistrzów poezji rozmaicie: można zwać ich „ojcami literatury", gdy pomnażają jej zasoby; ale w przypadku gdy ogromem swojego zjawiska twórców miary przeciętnej przerażają i oniemiają, wtedy zaiste jedynym wyrazem czci wobec takiego demona poezji pozostaje miano „zabójcy poetów".

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W sprawie szkolnictwa choreograficznego

Moralne koszta wojny, które ponoszą wszystkie dziedziny artystyczne, nie zaciążyły chyba na żadnej w takiej mierze jak na balecie, gdzie zaostrzony zmysł kupiecki i docierające z zewnątrz miazmaty szabrownictwa zabijają głębszą ideę estetyczną, torując drogę rozpanoszonej tandecie rewiowej. Otwarcie więc trzeba sobie powiedzieć, że przy obecnym stanie rzeczy, choćby się nie traciło nadziei na niespodziane przełomy psychiczne, główną ufność jednak pokładać należy w młode kadry baletowe, jakie winno nam wytworzyć racjonalnie postawione szkolnictwo zawodowe.

Zagadnienie nauczania choreograficznego znalazło doskonałe rozwiązanie już w antycznej Grecji. Niegdyś centrum cywilizacji światowej Mytilene, miasto położone nad morzem Egejskim, było ojczyzną dwóch wielkich sztuk starożytności — poezji i choreografii.

W szkołach choreograficznych Mytilene, z których jedna dała światu wielką poetkę Safo, wykładano w VI w. przed Chrystusem wszystko co związane było z pięknem zewnętrznym — pięknością ciała, gestu, mimiki, ruchu plastycznego, i to co łączyło się z wewnętrznym pięknem ducha, — melodii, słowa. W antycznej Grecji i Rzymie stawiano choreografii wysokie wymagania. Starożytny poeta Łukian mówił, że „tancerz winien znać rytm i muzykę, by nadawać miarowość swym ruchom; geometrię, by kreślić swoje pas, filozofię i retorykę, by odtwarzać obyczaje i wzniecać uczucia; malarstwo i rzeźbę, by komponować pozy i grupy; co zaś się tyczy historii i mitologii, to winien on znać w doskonałości wszystkie wydarzenia od chaosu i stworzenia świata do naszych dni"!

Taki był ideał wykształconego tancerza w starożytności, kiedy widziano radość ziemskiego bytowania w pięknie, na które składają się trzy elementy: rytm, plastyka i poezja.

Lecz przyszedł zmierzch świata antycznego i nastały czasy „wzgardzicieli ciała", stulecia ascezy i scholastyki, kiedy sztuka taneczna uległa zaniedbaniu.

Wprawdzie w wiekach średnich uprawiano nawet tańce religijne po klasztorach i kościołach, istniały również tańce sataniczne, sekciarski szał tańca i tańce świeckie jako namiętność rozpowszechniona w rozmaitych miastach mimo okrutnych wojen i plag. Ale wszystko to było prymitywne i nawet bardziej wymyślne tańce dworskie miały mało wspólnego z prawdziwą sztuką.

Dopiero epoka Renesansu przyniosła odrodzenie szkolnictwa choreograficznego, bez którego wydatny rozwój sztuki tanecznej nie jest możliwy. Zapoczątkowana we Włoszech, nauka choreograficzna zakwitła potem najpiękniej we Francji, gdzie za panowania Ludwika XIV powstała nawet Akademia Królewska Tańca. Ale wykwintna sztuka tańca, uwieńczona wspaniałym rozwojem baletu na dworze Ludwików, odbiegła już bardzo daleko od zasad starożytnej Grecji, która uważała tańce za ważny czynnik społeczno - wychowawczy dla szerszych mas.

Miarą oddalenia służą wiadomości, że dopiero w r. 1681 pojawiły się pierwsze tancerki w balecie, gdzie do tego momentu role kobiece były wykonywane przez mężczyzn, i dopiero w r. 1772 usunięto maski, które pokrywały twarze tancerzy. Balet dworski nastawiony był na okazałość, na wielką pompę i obfitość akcesoriów. Do tego założenia dostosowano i szkolnictwo choreograficzne. W ogóle zarówno w czasach Renesansu, jak i w połowie XVII w., taniec charakteryzuje się konwencjonalnym, nudnym schematyzmem i jedynymi przedstawicielami tańca żywiołowego, nieskrępowanego sztywnym ceremoniałem, byli chłopi, czyli że właściwe źródło żywiołu tanecznego, jakim jest twórczość ludowa, pozostaje poza obrębem ówczesnego szkolnictwa choreograficznego.

Nie zamierzam oczywista dawać tu szkicu historii tańca światowego. Chcę jedynie zwrócić uwagę na założenia cechujące główne etapy szkolnictwa choreograficznego.

W tym celu przypominam, że po udoskonaleniu się t. zw. baletu klasycznego, którego początki tkwią w epoce Renesansu, a najszczytniejsze osiągnięcia należą do nowoczesnej grupy baletowej Sergiusza Diagilewa, po wzbogaceniu się starego baletu teatralnego w pierwiastek charakterystyczny, zaczerpnięty od różnych narodowości, nastąpił w problematyce tańca artystycznego zdecydowany przełom, a w jego następstwie radykalna reforma szkolnictwa choreograficznego.

Przewrót spowodowała, jak wiadomo, ok. 1900 r. znakomita tancerka amerykańska Isadora Duncan. Powiedziała nowe słowo w dziedzinie tańca i, jak słusznie ktoś zauważył, to nowe słowo było słowem bardzo starym.

Tancerka ta, która długie dnie spędzała w muzeach Paryża, Londynu, Neapolu i Aten, studiując malowidła na wazach etruskich i statuetki tanagryjskie, zjednoczyła poszczególne momenty graficzne w całe tańce, będące bezpośrednim wyrazem plastycznym różnych stanów ducha: erotycznego, religijnego, ekstatycznego, idyllicznego i t. d. Hasłem jej stał się powrót do pierwotnego źródła tańca artystycznego — do tańca starożytnej Hellady. W związku z tym wyzwoliła ona piękne ciało ludzkie od krępujących jego ruchy tricots, powiększając tym skalę środków interpretacji treści muzycznej.

Po linii usunięcia szablonu techniki baletowej szedł również Rudolf Laban, założyciel Instytutu Choreograficznego w Berlinie i jego uczennica Mary Wigman, która wyrzekła się wszelkich elementów pantomimicznych, dekoratywnych i akrobatycznych. Wielkie znaczenie dla nowoczesnego szkolnictwa choreograficznego miały też osiągnięcia Jacques'a Dalcroze, inicjatora gimnastyki rytmicznej, wykonywanej przy dźwiękach muzyki.

Czasy po pierwszej wojnie światowej charakteryzują się w dziedzinie tańca samorzutną syntezą starego i nowego kierunku, — syntezą, że tak powiem, bezideową, ale przypadkowo pomyślną. Dokonało się to połączenie starych tradycyj z nowymi zdobyczami w znacznym stopniu pod wpływem potrzeb rewii, której zasadniczym hasłem jest rozmaitość.

Ale rewia wywarła jednocześnie ujemny wpływ na rozwój tańca artystycznego, a co zatem i szkolnictwa choreograficznego. Wniosła mianowicie do tej dziedziny tanie efekciarstwo, przeładowanie wyczynami akrobatycznymi i tematyką literacką, również przeważnie tanią, wypierającą czysty taniec jako uplastycznienie muzyki. Rewia też pozbawiła balet długiego oddechu, monumentalności, dostosowując go do swych założeń teatru małych form.

Główną natomiast zasługą okresu międzywojennego u nas w Polsce jest piękny rozkwit artystycznej interpretacji tańców ludowych. Na tę naturalną drogę rozwoju wkroczył pierwszy Feliks Parnell, tworząc swój znakomity „Balet Polski", który stał się ważnym czynnikiem propagandy artystycznej w całej Europie, dzięki uznaniu, jakie zdobyły jego utanecznione pieśni ludowe, sceny taneczne oparte na obrzędach wiejskich.

W dzisiejszej dobie powojennej choreografia, jak i inne sztuki, przeżywa okres krytyczny. Nasze kadry baletowe są uszczuplone. Mamy wprawdzie jeszcze świetnych tancerzy i tancerki, jak Parnell, Barbara Karczmarewicz, Zizi Halama, Papliński, Wójcikowski, Kołpikówna, Borkowski, Marynowska i in., ale są oni rozproszeni po całym kraju tak, że nigdzie nie utworzył się obecnie mocny ośrodek baletowy. Przygodne zespoły taneczne, przeważnie łączące się ze skeczystami i pieśniarzami, odbywają tournées zarobkowo z programem idącym po linii najmniejszego oporu. Sprawy bytu materialnego odsunęły na drugi plan problemy artystyczne. Nie słyszeliśmy też, by Internat racjonalnego kształcenia zawodowego, założony niedawno przez Parnella w Zakopanem, spełnił pokładane w nim nadzieje.

W tych warunkach każda szkoła baletowa, stworzona dzięki inicjatywie prywatnej, nabiera szczególnej wagi i winna być otoczona jak najtroskliwszą opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki. Społeczne znaczenie tańca artystycznego, pojęte już w zamierzchłej przeszłości, musi znaleźć dzisiaj zrozumienie przynajmniej o tyle, by nie puszczano szkolnictwa choreograficznego samopas, jak to się dzieje przy bezkontrolnym funkcjonowaniu poszczególnych szkół prywatnych, nie objętych ogólnym planem, nie wyposażonych w program, zatwierdzony przez czynniki kompetentne, i skutkiem tego kształcących w wielu wypadkach jedynie nowe szeregi „girlasek".

Dla każdego doświadczonego kierownictwa szkoły baletowej jasną jest rzeczą, że technika taneczna musi być oparta na ćwiczeniu klasycznym, uzupełnionym intensywnym wydobywaniem ekspresji, z ograniczeniem akrobatyki do roli środka pomocniczego. Podstawowym zadaniem szkoły choreograficznej jest wytężona praca nad umuzykalnieniem uczni, wdrażanie ich już od pierwszej lekcji do odczuwania muzyki, bo, słusznie zauważył ktoś znający się na przedmiocie, że taniec trzeba traktować jako indywidualne natchnienie muzyczno-plastyczne, połączone z doskonałą techniką.

Niebezpiecznym wypaczeniem grozi sztuce tanecznej literackie podejście do nauczania, jakie się daje zaobserwować w niektórych szkołach choreograficznych. Znajduje ono niezdrową podnietę w urządzanych zbyt często popisach publicznych, niekiedy przedwczesnych. Temat, sceny mimiczne, mają oczywista rację bytu, gdy chodzi o tańce charakterystyczne, bądź wobec widoków na przyszłe możliwości rozwojowe baletu monumentalnego. Lecz z chwilą, gdy przeładowanie programu anegdotą zaczyna maskować niedociągnięcia techniczne, gdy zamiast skromnie podanych solidnych wyników szkolnych mnożą się występy uczniowskie trącące kostiumowym kinderbalem, a zarazem music hall'em, szkoła wkracza na manowce, które prowadzą do rewii, schlebiającej niewybrednym gustom szerokiej publiczności i, mówiny szczerze, nawet instynktom dość prymitywnym.

Opracowanie racjonalnych wytycznych dla szkolnictwa choreograficznego jest sprawą bardzo pilną. Przede wszystkim zaś należałoby zastanowić się poważnie nad tym, któremu departamentowi ma ono podlegać, i czy raczej nie powinno stanowić wspólnej strefy zainteresowań departamentów muzyki, plastyki i teatru.

JÓZEF SWATOŃ

O polską nutę na wsi

Ileż to wsi wzdłuż i wszerz całej Polski, mających swój bogaty, rodzimy i charakterystyczny folklor! Ileż to pieśni rozbrzmiewa w polu z wiosną, w lecie przy żniwach, jesienią przy omłócce, zimą przy szyciu, wyszywankach i skubaniu piór. Ileż to melodii przeróżnych słyszy się na zabawach tanecznych w świetlicach czy na wolnym powietrzu na t. zw. drewnianej sali! Jednak co to za melodie, co za słowa? Czy polskie, czy rodzime? W większości wypadków nie; są one obce pod względem treści, melodii i rytmu, a jeśli i polskie, to mocno skoszlawione, o treści bez sensu, wzorowane „niby modnie" na tandecie muzycznej z zagranicy. Już nawet dzieci szkolne śpiewają „kupowane piosenki" na targu lub jarmarkach „za jedne 10 zł.". Uczą się nawet tych tekstów na pamięć.

Wieś polska musi być odrodzona, odrodzona muzyką dobrą, rodzimą, wychowującą przez odpowiednie umuzykalnienie koncertami. Niech wieś kultywuje muzykę prostą, ale o pewnym poziomie i wartości artystycznej, możliwie ochoczą i wesołą, by wypełnić pustkę, jaką daje się zauważyć po wojnie na wsi, by zapomnieć o ranach krwawych, jakie zadał wsi polskiej wróg. Zaprzestańmy karmić wieś murzyńskimi rytmami i ruchami, synkopowy rytm mamy przecież w polskim krakowiakach, a więc wróćmy do tańców polskich przy muzyce ludowej. Radio koniecznie musi zmienić swój repertuar dla wsi, niechże rozsierdzony Scepan, Bandyk lub Walanty nie musi chwytać za but i ciskać nim w stronę głośnika. Niech zabrzmią na nowo kapele ludowe z ochoczymi i wesołymi przyśpiewkami. Niech każda wieś pozna Szopena, Moniuszkę, Noskowskiego i innych; niech śpiewa swoje pieśni ludowe, z sąsiednich regionów i z całej Polski. Jak bogate to źródło, jak olbrzymi byłby to repertuar, a równocześnie historyczna spuścizna po przodkach, którzy tworząc śpiewali (a nawet tańczyli) w latach wolności, dobrobytu, w niewoli, w walce o niepodległość kraju i t. p.

Weźmy do rąk Kolberga, przerzućmy kilkanaście stronic jego bezcennych prac np. w tomie „Krakowskie", wczytujmy się i wgłębiajmy w fragmenty życia w tym wypadku krakowiaków; ile tam piękna, radości, patriotyzmu, zadowolenia z barwnego stroju i t .p.

„Krakowiaczek ci ja, krakowskiej natury...", „A jak ci ja urżnę krakowiaka z nogi..." oto początkowe słowa z nielicznych strof wiekowego popularnego krakowiaka. Po polonezie jest to najstarszy taniec polski. Wyszedł krakowiak z ludu, stał się jego ulubionym tańcem. Swego czasu był on charakteru wojennego, bo tańczyli go sami mężczyźni, jeden drugiemu służąc w parę. Podobno najbardziej rozpowszechniony był za czasów króla chłopków Kazimierza Wielkiego. Krakowiak zachowuje się dotąd u wieśniaków krakowskich, z całą swą krasą ubiorów, śpiewek i ochoczego ich życia.

Kiedy wszyscy na świecie zwykle tańczą, jak im zagrają, jedni krakowiacy tak tańczą, jak sobie sami zaśpiewają. „Śpiew istotnie zdaje się być rzeczywiście krakowiaka cechą. Taniec ten jest chwilą wyjaśniającą nam, jak poetycznym i muzykalnym jest ten lud, kiedy przodownik w tańcu swoje piosnki improwizuje, „nutę" do nich układa, muzyka zaraz ją przygrywa, a oni w takt ją tańczą. O, te ich piosnki i muzyka to dwie siostry, a taniec to ich brat, wszyscy zaś troje, to bliźnięta, tak podobne do siebie, że zaraz każdy odgadnie, że to dzieci jednej matki". A choć już tyle wieków przeżyły, nie zmienił się ich pierwiastkowy charakter i zawsze się zalecają prostotą, swobodą i wesołością.

„Aby tak tańczyć krakowiaka, jak go oni tańczą, trzeba się urodzić krakowiakiem". Długie krakowianek warkocze, po dwa splatane, unoszą się w powietrzu za tanecznicą między kilkudziesięciu wstęgami różnego koloru. Wstęgi te oznaczają całą historię tancerki, gdyż zwykle są podarunkami zalotników, matek chrzestnych, pamiątkami z odpustów i t. p. Co za barwy na spódniczkach, co za hafty na koszulkach, a gorsety, a trzewiczki! Co to za rysunek w wyszyciu, co za rzeźba na pasie, co za krój męskiej sukmany, jaka zuchowatość z czapką na bakier z pawim piórkiem, jaka fantazja i smak w całym ubraniu!

Patrząc na ten taniec, widzimy co moment jakieś w nim zmiany, a po zmianie nowe obrazy, przedstawiające niemal całą historię dwojga zakochanych. „Zawsze odgadnąć można, co każdy obraz przedstawia, bo śpiewane przy tym krakowiaki są jak na dawnych obrazach napisy z ust wychodzące".

Gdy zaś włościanie sobie podchmielą, są szczodrzy i niczego nie żałują, a przede wszystkim taki, co rej w tańcu wiedzie, zwykle wszystko co ma przy sobie wyda na muzykę i dlatego często słyszy się śpiewkę:

Skrzypek se pan, skrzypek — my jego rolnicy,
kiedy zagra, drzemy — buty po próżnicy.

Kto z nich zapłaci, ten podaje nutę skrzypkowi, który musi ją wygrać wedle życzenia tancerza. Biada temu, coby się śmiał wysunąć przed niego i puścić przodem.

Oto dosłowne cytaty bardzo mocno przekonywujące z Kolberga. Przypuszczam, że mój artykuł zachęci i innych do napisania na ten temat, a przede wszystkim o muzyce i tańcach innych regionów ziem polskich dla ratowania i odrodzenia pieśni polskiej rodzimej na ziemiach polskich, a tym bardziej na ziemiach niedawno odzyskanych, gdzie pieśni polskiej dotychczas tak bardzo mało i trzeba się jej z trudem wielkim doszukiwać.

ZYGMUNT MIKULSKI

Dopiero świst bomby rzucił mnie
na otwartą stronicę pytania: czy będę?
Jednocześnie urastałem grozą.
W jednym skurczu ja — dudniące zapadłe wieko, ja
ciemność, albo nerw skrzypiec.
O, uściśnijcie brak mojej ręki,
rzeczy martwe.
Tak podnieść ducha o jeden wstrzymany
wylew, o jedną odległość żeber
w klatce piersiowej. Rozrosnąć się na cały
bombardowany ląd.
Równocześnie: nawiało snem w liście,
stapa mrok kwitnąc.
(Sen w oparciu o ścianę domu,
jak ukosem twarzy o skrzypce).
Zanim minie wyrój bombowców, wołam
niemym otwarciem ust, gdyż nie znam
treści pytania, znając jego formę.

ZYGMUNT SZCZEPAŃSKI

Jednogłosowy śpiew zespołowy

Głos ludzki, jako żywy, naturalny, najpiękniejszy, a zarazem najwięcej zrozumiały instrument, jest od najdawniejszych czasów aż do dziś najpowszechniejszym środkiem, przez który wypowiada się instynkt muzyczny ludzkości.

Głos ludzki stał się potężną dźwignią twórczą sztuki muzycznej, znajdującej swój wyraz w przebogatej pod względem formy i treści literaturze wokalnej całej ludzkości, a zarazem dał impuls do stworzenia wielkiej sztuki śpiewaczej, która głos ludzki jako instrument niesłychanie bogaty i giętki doprowadziła do zawrotnych wyżyn mistrzostwa.

Stąd też sztuka śpiewacza, jako najwięcej dostępna i zrozumiała, była zawsze otaczana największym kultem szerokich mas.

Masy te nie tylko lubiły słuchać i podziwiać śpiew, ale przede wszystkim same lubiły śpiewać, dając wyraz własnym, wrodzonym instynktom muzycznym drzemiącym w duszach, a często nie uświadomionym.

Tu należy szukać początków śpiewu zespołowego, w jego najprostszej, unisonowej formie, aż do dzisiejszych wspaniałych chórów wielogłosowych najrozmaitszych typów.

Istotą śpiewu zespołowego w dzisiejszym pojęciu jest śpiew wykonywany nie tylko przez wielość śpiewających, ale także zróżnicowany pod względem barwy i skali — śpiew harmoniczny.

Wyrazem tego ostatniego jest chór jedno- dwu- trzy- cztero i więcej głosowy równy (męski, żeński), lub też mieszany, ze względu na udział głosów kobiecych (sopran, alt) i męskich (tenor, bas).

Ze względu zaś na wiek, a także z nim związaną barwę głosów, które uczestniczą w chórze, dzielimy chóry na: dziecięce (chłopięce), żeńskie (kobiece) i męskie.

Nas jednak w danym wypadku interesuje pierwotna forma śpiewu zespołowego, ściślej mówiąc — zbiorowego, t. zw. śpiew jednogłosowy (unisonowy).

Śpiew ten jako najstarszy w historii muzyki zespołowej był zawsze i jest najpotężniejszym czynnikiem wychowawczym, był i jest największym czynnikiem zespalającym masy, bodajże pierwszym, obok pracy, środkiem wyzwalającym instynkt społeczny, instynkt gromadzki.

Wartość jego wychowawczo-społeczną, obok tego, że jest prosty w formie, a zatem powszechnie dostępny, podnosi jeszcze specyficzna spontaniczność, żywiołowość, która mu towarzyszy na wszystkich szczeblach kultury i we wszystkich środkach wyrazu.

Stąd płynie jego potężne oddziaływanie zarówno na jednostkę jak i na masy, stąd jego siła wyzwalająca i łącząca zarazem, która zmusza do słuchania i współudziału.

Któż z nas nie doznał potężnego wstrząsu w kościele, gdy po uroczystym nabożeństwie wielotysięczny tłum zaintonował „Boże coś Polskę", lub oparł się owej zniewalającej sile, gdy wielotysięczna rzesza śpiewała „Jeszcze Polska nie zginęła" na podniosłych uroczystościach państwowych?

A spytajmy uczestników wielkich Kongresów Eucharystycznych, na których wielotysięczne i wielojęzyczne rzesze porywał i unosił potężny śpiew zbiorowy i zniewalał do udziału.

Przykłady można by mnożyć w nieskończoność, niemniej wszystkie zarówno wielkie manifestacje państwowe, narodowe czy religijne, jak również skromne w zaciszu domowym, na wycieczce, przy pracy lub zabawie śpiewane zbiorowo najprostsze nawet pieśni podkreślają wielką rolę śpiewu zbiorowego jako czynnika wyzwalającego instynkt społeczny spontanicznie, w jego najszlachetniejszej formie.

Jak z powyższego wynika, śpiew zbiorowy, umiejętnie prowadzony, może się stać potężnym czynnikiem scalającym masy, potężną spójnią, szczególnie u nas w Polsce, cierpiącej na wybujały indywidualizm, często zgubny dla naszego życia narodowego i państwowego.

Ażeby jednak śpiew zbiorowy stał się prawdziwą szkołą wychowania społecznego i kulturalnego, powinien spełnić następujące warunki:

a) powinien być wyraźny pod względem wymowy,

b) rytmiczny,

c) czysty pod względem intonacji,

d) naturalny i spontaniczny.

Przyjrzyjmy się teraz naszej rzeczywistości muzycznej, posłuchajmy uważnie i krytycznie, jak i co śpiewa u nas wojsko, idąc w kolumnie ulicą, jak i co śpiewa młodzież zrzeszona w związkach i organizacjach, jak i co śpiewamy na zebraniach towarzyskich, wycieczkach, zebraniach, jak śpiewa lud w kościołach, a co najważniejsze jak śpiewamy własny Hymn Narodowy? Czyż chociaż jeden z wyżej wymienionych warunków jest spełniony? Niestety, śpiewamy zwykle niewyraźnie, bez rytmu, nieczysto pod względem intonacji, krzyczymy, zamiast śpiewać swobodnie, prosto, niewymuszenie. Najżałośniej jednak wygląda nasz repertuar.

Śpiewamy często pieśni niewybredne, brzydkie, poprzekręcane i wykoszlawione rytmicznie i melodyjnie. Poza tym śpiewamy najczęściej pieśni przestarzałe, banalne i „oklepane", które rzucają bardzo smutne światło na nasze rodzime pieśniarstwo ludowe i artystyczne.

Cudzoziemiec będący w Polsce i przysłuchujący się temu co śpiewamy, a szczególnie repertuarowi naszej Armii, wyrobiłby sobie bardzo niepochlebny sąd o naszym bogactwie pieśniarskim, a wręcz najbardziej fałszywy sąd o naszej muzykalności. Dlaczego tak jest?!

Przecież jesteśmy narodem o najbogatszej ilościowo, a przede wszystkim jakościowo pieśni ludowej, pieśni niezwykle oryginalnej, przebogatej rytmicznie i melodyjnie. Oryginalność naszej pieśni ludowej, jej piękno, szlachetność melodii, różnorodność formy, harmonii, a szczególnie niewyczerpane bogactwo pomysłów rytmicznych zachwycały wybitnych kompozytorów niemieckich XVII i XVIII w., którzy robili „wędrówki muzyczne" do Polski, chcąc zasilić, wzbogacić i „odświeżyć" nowymi „ożywczymi" pomysłami swoją wyjałowiałą twórczość muzyczną (Telemann). Wystarczy przejrzeć 22-tomowe dzieło O. Kolberga, aby się przekonać, jak wygląda nasze „ubóstwo" pieśni ludowej.

O poczuciu rytmicznym, obok tego co wyżej powiedziano, świadczy choćby nasz taniec narodowy: mazur, kujawiak, oberek, krakowiak i polonez oraz powszechny u nas kult tańca i nieprzeciętne zdolności w tym kierunku.

Wrodzony słuch muzyczny przejawia się choćby w tańcu, choćby w żywej i trafnej reakcji na dźwięk, na piękno melodii, pieśni, a znajdujący wyraz choćby w popularnym powiedzeniu, jak: Polak, jak tańczy, to już „ogniście"; jak śpiewa, to tylko całą duszą.

Wystarczy tylko posłuchać dzieci, które z taką niesłychaną łatwością przyswajały sobie pieśni niemieckie podczas okupacji i rosyjskie teraz, albo fakt, że najnowsze „przeboje" zadziwiająco szybko stają się własnością ogółu.

Dlaczego jednak mimo tych wyraźnych zdolności w kierunku muzyki śpiewamy brzydko, źle, nierytmicznie, byle jak i byle co, nad tym warto by się głębiej zastanowić!

Przyczynę tego stanu rzeczy widzimy przede wszystkim w braku należytej doceny śpiewu zbiorowego, jako czynnika wychowawczego, społecznego i propagandowego w sferach miarodajnych, świata pedagogicznego i muzycznego. Jak zwykle niedoceniamy zagadnień bardzo ważnych, a przeceniamy mniej ważne.

Chcąc bowiem naprawić zło i uczynić śpiew zbiorowy narzędziem wychowania w kierunku społecznym, narodowym i obywatelskim, że nie wspomnę o jego wielkiej roli umuzykalniającej i kulturalnej, musimy poddać kontroli to co śpiewamy i jak śpiewamy.

Musimy zrewidować nasz stosunek do zagadnienia śpiewu i muzyki w ogóle, a śpiewu zbiorowego w szczególności, nadać naszemu śpiewu zbiorowego zdrowy sens, kierunek i poziom.

Kierunek i sens leżą w rękach sfer pedagogicznych, wartość i poziom w rękach fachowców, a więc muzyków.

Z powyższego wynika jasno, że zarówno wojsko, harcerstwo, związki młodzieżowe, instytucje oświatowe itp. powinny mieć fachowców instruktorów, przygotowanych do prowadzenia śpiewu zbiorowego i odpowiedzialnych za jego wartość i poziom. Materiał pieśniarski winien być wybrany, ustopniowany według trudności, dostosowany do celów i zadań poszczególnych instytucyj, a nade wszystko wartościowy, bogaty, różnorodny i interesujący, w śpiewnikach specjalnych zestawionych przez wybitnych fachowców, których na szczęście u nas nie brak.

Któż u nas jest odpowiedzialny za śpiew w wojsku, kto uczy pieśni, według jakiego śpiewnika, jakie jest jego przygotowanie fachowe?

Czyż podoficer lub oficer nie mający często żadnego przygotowania muzycznego, uczący ze słuchu z repertuaru „króla Ćwieczka" może za stan śpiewu swojej kompanii odpowiadać? A przyjrzyjmy się, co się dzieje na tym odcinku w Harcerstwie, posłuchajmy tych pieśni lub ich tekstów przez domorosłych „kompozytorów" i „poetów" tworzonych. Są to przecież zlepki i kompilacje najrozmaitszych melodii banalnych i małowartościowych, „częstochowskie" rymy przez „starych" druhów „ze słuchu" i z „pamięci" w młodzież wpajane.

Przykłady można by mnożyć w nieskończoność.

Zjawisko to jednak dziwne u nas w XX wieku, że wychowanie fizyczne młodzieży powierzamy fachowcom, zdrowie również, ba, angażujemy nawet specjalistów od czytelnictwa i biblioteki, mamy doradców prawnych, kostiumowych, dekoratorów itd. itd.., ale pocóż nam doradca, instruktor muzyczny?

Sami przecież umiemy śpiewać i uczyć, ale jak i co, mniejsza o to, byleby głośno, byleby wesoło, byleby... „dowcipnie".

Rezultaty mówią za siebie — często zatykamy uszy, oblewamy się rumieńcem wstydu i... pomawiają nas o niemuzykalność!!!...

WOJCIECH NATANSON

200-lecie Pestalozziego

W Szwajcarii obchodzona będzie uroczyście dwóchsetna rocznica urodzin głośnego pedagoga i reformatora wychowania, Pestalozziego. Pomniki wzniesione w kilku miastach, książki o Pestalozzim i stypendia jego imienia — mają opinii świata przypomnieć tę nieposolita postać.

Urodzony w Zürichu w 1746 roku, Pestalozzi był synem lekarza, a wnukiem protestanckiego pastora. Wychowany głównie przez matkę, już za młodu buntuje się przeciw krzywdom i niesprawiedliwościom. Ściąga w ten sposób na siebie różne nieprzyjemności, zostaje nawet aresztowany na krótko przez rząd kantonu zürichskiego. Studiuje teologię, filozofię i prawo. Z entuzjazmem rozczytuje się w Kancie. Żadne doświadczenia życiowe nie są w stanie uleczyć nieugaszonej w duszy Pestalozziego potrzeby ujmowania się za uciskanymi, wzgardzanymi, krzywdzonymi i nieszczęśliwymi.

Mając lat 21 żeni się ze starszą od siebie o 3 lata Anną Schulthess. Wspólnymi siłami małżonkowie kupują fermę i próbują zajmować się rolnictwem. Próby te nie bardzo się udają. Wtedy Pestalozzi przygarnia 40 sierot i rozpoczyna ich wychowanie. Niestety kończy się to dosyć smutno. Szlachetna impreza pochłania nie tylko cały majątek pedagoga, ale i posag jego żony, a nawet i pieniądze pożyczone (do końca życia ścigają Pestalozziego wierzyciele).

Spotyka go jeszcze jeden cios: żona, zabierając ze sobą synka, opuszcza marzyciela, nie chce mieć z nim nic wspólnego. Odtąd zaczyna się w życiu reformatora 18-letnia włóczęga.

Zabiera się najpierw do pisania długich dzieł. Dziś są one nieczytelne. Ale współcześni myśleli inaczej. Herder uznał za arcydzieło powieść Pestalozziego „Leonard i Gertruda". Królowa pruska dziękowała autorowi „w imieniu ludzkości". Zgromadzenie Ustawodawcze Francji nadało wielkiemu pedagogowi w roku 1792 obywatelstwo honorowe, na równi z Waszyngtonem i Schillerem.

Po ukończeniu 50-go roku życia Pestalozzi zajmuje się przede wszystkim praktyką wychowawczą. Osiąga — mimo przeszkód materialnych i walki z wierzycielami — rezultaty nadzwyczajne. Uczniowie napływają ze wszystkich krajów: ze Szwecji, Francji, Niemiec, Włoch i Polski. Metoda Pestalozziego polegała na tym, by zerwać z autorytatywnym i sztucznym narzucaniem wiedzy. Dążył do oparcia pedagogiki na wiedzy psychologicznej. Chciał, by dziecko przy pomocy praktycznych doświadczeń nauczyło się samodzielnie obserwować, sądzić i myśleć. Część tych metod ciągle jeszcze pozostaje postulatem. W iluż to szkołach uczniowie muszą biernie przypominać słowa profesorów. Rozwijanie samodzielności myślowej jest sprawą niedocenioną i rzadką. Nawet w szkołach artystycznych usiłuje się uczniom narzucić gotowe formuły, obciążyć balastem dogmatycznego estetyzmu. Pokutuje wiara, że można tak się „wkuć", by bez własnego samodzielnego talentu zostać twórczym artystą. Padają hasła, by stworzyć szkoły krytyków, dramaturgów, niełedwie poetów. Pedantyczne szkolarstwo niestety święci tryumfy. Dlatego dziś myśl Pestalozziego jest aktualna. Dlatego postać jego koniecznie należy przypomnieć.

ZBIGNIEW STOLAREK

Kreon chodzi w cylindrze

Paryż, w kwietniu 46 r.

Grupa panów, grupa pań. Z ich wyglądem ludzi z t. zw. dobrego towarzystwa koliduje tylko pusta scena, na której sterczą dwa proste krzesełka, no i tamci trzej, w głębi, w skórzanych kurtkach, zastygli przy kartach. Milczą. Za moment ożywiają się nagle na głos konferansjera, który przedstawia ich publiczności.

Więc ten starszy pan, w dobrze skrojonym garniturze — to Kreon, ta smutna dziewczyna w wieczorowej sukni — Antygona. Konferansjer ukazuje nam ich kolejno — Ismenę, Hemona. Eurydykę.

Konferansjer?... Ależ nie, ten wytworny pan w smokingu jest, jak głosi program teatralny, po prostu greckim chórem.

Lecz pierwszy moment cichego rozbawienia mija szybko, ustępuje ciekawości. Z tego stanu już tylko jeden skok w zdumienie, ba! w zachwyt. To właśnie słowo trącące wytartym niby miedziak frazesem staje się tutaj nowe, niepokojące tak jak i ta „Antygona" przeniesiona w współczesność, w której — zdawałoby się — nie ma najmniejszej racji bytu.

To, co dziś bierze w tej starej sofoklesowskiej sztuce opracowanej na nowo przez Jeana Aneuilh, to nie ekscentryczność pomysłu, to tylko i wyłącznie problem, ten sam, który pasjonował niegdyś widzów ateńskich. Sprawa wyłuskana z egzotyzmu hitonów i koturnów nabrała rumieńców aktualności, stała się bliższą. Antygona przestała być dziewczyną, której słowa i czyn pachną pożółkłym ze starości papirusem.

Tragedia jej przestaje być własnością jednej, zamierzchłej epoki, staje się sprawą ludzką przenikającą przez czas, „udwudziestowieczniona" przez strój i słowo, wprzągnięta jednym czy drugim odezwaniem się w dzień dzisiejszy, nabrzmiewa żywą krwią pulsującą mocno w wyschłych już żyłach.

Bardziej jeszcze uwypukli się ciągle ta sama współczesność „Antygony" przez porównanie np. z takim, cieszącym się obecnie dość dużym wzięciem „Tulonem", sztuką Blocha na tle wydarzeń w porcie Tulonu w czasie ostatniej wojny. Jest pozytywna reakcja sali, ale jeśli tak jest, to tylko dlatego, że ludzie żyją jeszcze tamtymi wypadkami, rzeczywistością retuszują ubóstwo sztuki. Postacie są tu traktowane powierzchownie, naskórkowo, według schematu — nie czuje się ich: papier, atrament.

A w „Antygonie", w starej, zaktualizowanej „Antygonie" jest człowiek. Żyje. Działa. Sprawa, która wydawała się być od nas odległą jak okres, kiedy Parki były czymś więcej niż mitem, ożyła.

I może tym tłumaczy się fakt, że teatr Atelier grał ją bez przerwy przez 475 wieczorów. Obecnie nie ma jej już w oficjalnym programie. Jednak od czasu do czasu wraca wciąż jeszcze na scenę na kilka godzin. Niepokojąca, bliska, Antygona — człowiek.

I taką ja widziałem tego lutowego wieczoru, gdy „umarła jeszcze raz, od trzech tysięcy lat — niebezpieczna, absurdalna, przejrzysta, — lecz tak samo potrzebna światu jak jego prawa".

Wieczór literacki na rzecz P. C. K.

W środę dnia 12-go marca publiczność lubelska miała okazję poznać nieomal wszystkich autorów swego miasta na wieczorze literackim, zorganizowanym przez Związek Zawodowy Literatów Polskich i Klub Literacki w Lublinie, którego całkowity dochód został przeznaczony na Polski Czerwony Krzyż. Słowo wstępne wygłosił znakomity uczony prof. Juliusz Kleiner, dając historyczny przekrój literatury lubelskiej od Biernata z Lublina zaczynając, a na grupie „Reflektora" i Awangardzie Czechowicza kończąc. Prof. Kleiner, nawiązując rzeczywistość współczesną literatury lubelskiej do przeszłości, ukazał perspektywę potrzebną do oceny i zrozumienia wagi zjawisk literackich na tle dynamiki polityczno-społecznej, ilustrującej pośrednio ich rodowód literacki. Po świetnym przemówieniu prof. Kleinera zabrał głos docent dr Stefan Kawyn, który powiedział „o Mickiewiczu — zabójcy poetów". Już sam tytuł prelekcji wzbudził wielkie zainteresowanie audytorium. Prelegent mówił barwnie o największym z wielkich romantyków literatury polskiej, jako o tym, który zmusił do milczenia innych poetów. Z kolei mgr Antoni Maśliński scharakteryzował osobowość i twórczość poetycką najbardziej związanego z Lublinem utalentowanego autora — Józefa Czechowicza, po czym Jan Nagrabiecki odczytał introdukcję wieczoru autorskiego Jana Parandowskiego, który zainaugurował działalność Klubu Literackiego w Lublinie. Następnie zostały odczytane: nowela „Kazus" ze zbioru „W retorcie życia" — Marii Bechczyc-Rudnickiej, fragmenty powieści „Jarzmo" — Józefa Nikodema Kłosowskiego oraz „Słoneczna Miłość" — Feliksa Araszkiewicza. W dalszym programie imprezy młodzi autorzy odczytywali kolejno drobne utwory liryczne. Byli to: Jacek Bocheński, Konrad Bielski, Eugeniusz Gołębiowski, Anna Kamieńska, Zygmunt Mikulski, Jan Nagrabiecki, Zygmunt Piotrowski, Stefan Wolski.

W. N.

Festiwal Sztuki w Lublinie

Z inicjatywy Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie odbędzie się w czasie od 1 do 8 października r. b. Lubelski Festiwal Sztuki, którego celem będzie zaprezentowanie szerokim rzeszom społeczeństwa dorobku artystycznego regionu lubelskiego i zademonstrowanie doniosłości roli, jaką powinna sztuka odegrać w nowej Polsce.

Komitet Organizacyjny Festiwalu wyłonił spośród siebie następujące sekcje: teatralną z Ireną Ładosiówną jako przewodniczącą, muzyczną z Tadeuszem Szeligowskim na czele, literacką, której kierownictwo objęła Maria Bechczyc-Rudnicka, plastyczną z przewodniczącym Juliuszem Kurzątkowskim oraz organizacyjną, której kierownictwa podjął się kierownik Miejskiego Oddziału Oświaty i Kultury Jan Widmański.

Ze względu na znaczną rolę, jaka odgrywa młodzież w życiu artystycznym Lublina, w pracach organizacyjnych biorą udział delegaci miejscowego Kuratorium oraz przedstawiciele organizacji społecznych i młodzieżowych. Na czele Komitetu Organizacyjnego stoi Józef N. Kłosowski.

W skład Komisji weszli jako członkowie honorowi prof. Juliusz Kleiner i Jan Parandowski.

Lubelski Festiwal Sztuki zaprezentuje oprócz dorobku artystów z Lublina również najlepsze zespoły powiatowe. W celu dokonania selekcji poszczególnych powiatowych zespołów teatralnych i muzycznych odbędą się w ciągu września r. b. Powiatowe Tygodnie Sztuki.

I. W.

Popisy szkoły tańca M. Grodzkiej

Poważną zdobyczą w powojennym życiu artystycznym Lublina jest pomyślny rozwój szkolnictwa choreograficznego. Po udanych popisach szkoły baletowej Jadwigi Wirskiej, które ujawniły doskonałą sprawność techniczną uczennic, odbyły się z kolei w Teatrze Miejskim popisy Szkoły Tańca Marii Łosakiewicz-Grodzkiej. Program, zawierający szereg efektownych numerów, został wykonany przez 20 uczennic i 3 uczniów. Kompozycje M. Grodzkiej są pomysłowe (z wyjątkiem Snu Hani i Tańca Polskiego do muzyki L. Różyckiego), kostiumy starannie zaprojektowane, dzięki czemu zatarły się niedociągnięcia techniczne, które zresztą można w znacznym stopniu usprawiedliwić stosunkowo krótkim okresem nauczania. Biorąc pod uwagę kwalifikacje zawodowe dyrektorki, godnie reprezentującej tradycje szkoły Tacjany Wysockiej, i zapał wkładany przez nią do pracy, można żywić nadzieję, ze szkoła osiągnie bardzo dodatnie wyniki w szybkim tempie.

r.

Audycje umuzykalniające w radio

Już od dłuższego czasu w ramach audycji umuzykalniających radiostacja łódzka nadaje na falach eteru periodyczne pogadanki w opracowaniu młodego kompozytora polskiego Witolda Rudzińskiego. Pomijając słuszność i pożytek tych audycji, warto się zastanowić nad metodami autora, który jest jednocześnie inicjatorem i organizatorem, spełniającym często funkcje reżyserskie i wykonawcze. Pogadanki te odbywają się zwykle co środę o godzinie 15-ej w programie ogólnopolskim. Charakteryzuje je konstruktywność i programowość w doborze repertuaru muzycznego, podyktowana względami dydaktycznymi i pedagogicznymi. Zwykle w audycji biorą udział dwa głosy: męski i żeński, omawiające trudności i umiejętności apercypowania utworu muzycznego z t. zw. repertuaru muzyki poważnej. Audycja taka w formie dialogu ilustrowanego przykładami muzyki fortepianowej, symfonicznej i wokalnej, sprawia wrażenie inicjatywy pożytecznej, odpowiedzialnej, realizowanej trafnie i na wysokim poziomie. Metoda swobodnej rozmowy ilustrującej zasady budowy utworu muzycznego z punktu widzenia najelementarniejszej sumy wiadomości teoretycznych, metoda informowania o odrębności tej sztuki wydaje się najwłaściwsza i społecznie uzasadniona. To też usilnie prosimy tych, którzy chcą słuchać (a jeszcze nie umieją) muzyki poważnej, nie zapominać o systematycznym łączeniu się z audycją łódzką, która napewno dostarczy wiele artystycznych przeżyć i jest w dziele upowszechnienia kultury i sztuki pozycją ważną, potrzebną i zasłużoną.

Jan Nagrabiecki

Radiofonizacja Polski

W roku 1945 zbudowano w Polsce ogółem 10 stacji nadawczych, uruchomiono 29 radiowęzłów, zainstalowano 25.000 głośników mieszkaniowych, uruchomiono produkcję sprzętu radiotechnicznego (fabryki głośników i wzmacniaczy) oraz zarejestrowano 150.000 radioabonentów. W planie radiofonii na rok 1946 przewiduje się przede wszystkim zradiofonizowanie niezelektryfikowanych wsi przy pomocy rozbudowy radiowęzłów, od których zostanie przeprowadzona sieć głośników, oraz zbiorowych urządzeń radiowych w ogólnej ilości około 500.

Do odbudowy radiofonii w Polsce przyczyni się również uzyskanie drogą rewindykacji z Niemiec jednej stacji długofalowej z pełnym uposażeniem o mocy nie mniej niż 100 KW, przynajmniej jednej stacji krótkofalowej o mocy 50 KW, jednej kompletnej fabryki odbiorników radiowych i fabryki lamp. Nastąpi również rewindykacja zagrabionego przez Niemców sprzętu radiowego nadawczego i laboratoryjnego oraz odbiorników radiowych w sumie około 1.000.000 sztuk.

Nadmienić należy, że w ogólnym planie radiofonizacji Polski dużą rolę odegrać może czynnik społeczny. W tym celu powołano w szeregu większych miast Społeczne Komitety Radiofonizacji Kraju, a w najbliższym czasie zostanie powołany ogólnopolski Komitet Radiofonizacji Kraju.

J. W.

Z NOWYCH WYDAWNICTW MUZYCZNYCH

Po wojnie barbarzyńskiej, która spowodowała tyle zniszczeń i niepowetowanych strat w bibliotekach muzycznych poszczególnych chórów, konieczne było przyjść z pomocą chórom amatorskim, które z trudem pokonywać muszą powstałe luki w swoim repertuarze.

O lukach i brakach powyższych pomyślało bardzo ruchliwe i bardzo pożytecznie pracujące dla potrzeb świata muzycznego Polskie Wydawnictwo Muzyczne (Kraków, ul. Basztowa 23), które utworzyło specjalny dział wydawniczy pod nazwą „Polska Literatura Chóralna".

Spróbuję omówić bardziej szczegółowo każdy ze śpiewników poszczególnych, które do rąk moich dostały się i z których niektóre pieśni prześpiewałem z chórami amatorskimi.

W opracowaniu Tadeusza Szeligowskiego ukazał się śpiewnik p. t. **„5 pieśni ludowych z Lubelszczyzny" na 3 głosy żeńskie** lub dziecięce (zeszyt Nr 6).

Opracowanie jest łatwe, przystępne w wyuczeniu poszczególnych głosów, bo po największej części każdy głos ma swoją odrębną melodię i rytmikę, w skali od „sol" niskiego do „fa" górnego.

Tegoż samego autora pojawił się drugi śpiewnik p. t. **„5 pieśni ludowych z Lubelszczyzny" na 3 głosy mieszane** (zeszyt Nr 8). Gorąco polecam ten zbiorek chórom amatorskim w szkołach średnich koedukacyjnych i świetlicach. Wobec braku głosów męskich śpiew 3-głosowy, t. j. sopran, alt i 1 głos męski, to najlepsza możność rozwiązania kłopotów w zorganizowaniu i prowadzeniu chóru mieszanego. Skład takiego chóru i podobne opracowania (których niestety na razie jest bardzo mało) z konieczności przyjmie się w szkołach średnich, a tym bardziej w świetlicach, gdzie byłoby wprost niepożądane, by istniał tylko chór żeński lub męski.

7 pieśni ludowych z różnych regionów **na 3 głosy mieszane** w łatwym układzie opracował **Witold Rudziński** (zeszyt Nr 9). 3 głos męski też jest głosem tenorowym i sięga do wysokiego „fa". Głosy poszczególne prowadzone są żywo i barwnie, rzec można kontrapunktycznie. Ciekawy w budowie jest kanon p. t. „W gaiku zielonym" i pieśń „Pod zielonym dębem". Z ochotą i zadowoleniem chóry śpiewać będą „Zieloną rutę" i pieśń „Plon, żyta plon" o charakterystycznym rytmie. Zbiorek ten cieszyć się będzie powodzeniem w chórach mieszanych amatorskich.

Z pełnym pietyzmem i uznaniem dla tak przedwcześnie zmarłego oficera - powstańca Warszawy, doskonałego muzyka - kompozytora wziąłem do rąk **2 Motety na chór żeński Romana Padlewskiego.** Są to utwory na 4-głosowy chór żeński, z tekstem anonimowym z XVI w., o treści religijnej. Obydwa utwory są bardzo wartościowe, harmonicznie ciekawe, ale też trudniejsze do wykonania. Nadają się one raczej na kwartet solowy.

Polskie Wydawnictwo Muzyczne zapowiada jeszcze cały szereg nowości, o których może w przyszłości będę mógł również napisać, zaznaczając równocześnie, że powyższe Wydawnictwo posiada bibliotekę, w której mieszczą się przedwojenne wydawnictwa, a których przeważnie wskutek działań wojennych nigdzie znaleźć nie można.

Na tematy ludowe **łatwe duety** na 2 skrzypiec napisała znana skrzypaczka i kompozytorka **Grażyna Bacewiczówna;** poza „Preludium" i „Nokturnem" w zbiorku mieszczą się dwa „Krakowiaki", „Kujawiak", „Marsz groteskowy" i „Piosenka". Dla świetlic najbardziej odpowiednie będą krakowiaki, kujawiak i marsz groteskowy.

J. Swatoń

◆

Ukazała się **Szkoła na harmonię klawiszową (akordeon),** Józefa Powroźniaka. (Wyd. T. Gieszczykiewicz, Kraków). Jest to już drugi z rzędu podręcznik tego autora. Rok temu ujrzała światło dzienne jego **Szkoła gry na gitarze,** traktująca gitarę jako pełnowartościowy instrument muzyczny wbrew niesłusznie zakorzenionej u nas opinii, jakoby gitara nie nadawała się do gry artystycznej. Oba te dziełka cechuje wielki kult i przywiązanie autora do naszych pieśni i tańców ludowych. Szczególnie w **Szkole na akordeon** doskonale wykorzystał J. Powroźniak pieśń ludowa jako materiał ćwiczeniowy stanowiący świetne urozmaicenie i uzupełnienie gam, palcówek i ćwiczeń. Stopniowanie trudności, dobór ćwiczeń i przeplatanie ich odpowiedniimi pieśniami i tańcami oraz przystępnie podane objaśnienia i metodyczne dawkowanie wiadomości z zasad muzyki wpływają bardzo dodatnio na konstrukcję i harmonijną zwartość Szkoły.

L. Bursa

MUZYKA

WARSZAWA

Prezydium Rady Ministrów udzieliło milion złotych subwencji na odbudowę sali Filharmonii Warszawskiej, dzięki czemu orkiestra filharmoniczna uzyska własną siedzibę.

Instytut Fryderyka Szopena przejął opiekę nad domkiem w Żelazowej Woli — miejscu urodzenia F. Szopena.

Z dniem 20 maja r. b. Departamenty Plastyki, Teatru i Biuro Współpracy z Zagranicą oraz Ministrowie przenieśli się do nowego gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki przy Alei Szucha Nr 3

POZNAŃ

Na terenie Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej działa 97 chórów męskich i 207 mieszanych, w których zrzeszonych jest 9.000 członków. Chóry te posiadają w swoim repertuarze 2640 pieśni polskich kompozytorów.

Wielkopolski Związek Śpiewaczy, Związek Zawodowy Muzyków R. P., Związek Kompozytorów i Związek Chórów Kościelnych w Poznaniu przystąpiły do wydawania własnego organu muzycznego p. t. „Życie Muzyczne". Pierwszy numer ukazał się w maju r. b. Artykuły poszczególne poruszają sprawy minione i aktualne śpiewactwa wielkopolskiego. W czasopiśmie znajdują się podobizny zmarłych przyjaciół i wychowawców śpiewactwa polskiego: F. Nowowiejskiego i B. Wallka-Walewskiego.

Po wystawieniu „Fausta" w Operze Poznańskiej przygotowuje się „Aidę" J. Verdiego i klasyczną operetkę „Zemsta nietoperza" Jana Straussa.

KRAKÓW

Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, Basztowa 23 wydało katalog Nr 2 „Biblioteki materiałów pisanych polskich dzieł do wypożyczania" z datą 1 maja 1946 r. na muzykę symfoniczną i chóralną. Uwzględnione są też utwory na instrument solo z orkiestrą, tak samo chóry (sola) z orkiestrą i balet.

Na terenie Krakowa przy Zarządzie Sekcji Pedagogicznej Związku Zawodowego Muzyków utworzono „Poradnię pedagogiczną".

Na posiedzeniu Rady Miejskiej Narodowej w Krakowie, w dyskusji nad sprawami kultury i sztuki, postanowiono, że Kraków musi mieć swoją operę. W tym kierunku miasto i muzycy robią specjalne starania.

We wrześniu r. b. w Krakowie odbędzie się Festiwal Współczesnej Muzyki Polskiej. Obejmie on szereg koncertów, na które złożą się m. in. utwory napisane w czasie wojny.

Jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu kulturalnym Krakowa był w dniu 13 czerwca koncert poświęcony nieznanej twórczości pieśniarskiej i fortepianowej Feliksa Nowowiejskiego. Na program złożyły się: poemat na sopran „Róże dla Safo", cykle liryk i stylizacje folkloru — w interpretacji znakomitej śpiewaczki Ireny Wiskidy, która po studiach paryskich osiedliła się w Polsce — oraz „Obrazy słowiańskie" na fortepian — w wykonaniu młodego pianisty, syna kompozytora, Kazimierza Nowowiejskiego, który również akompaniował w części pieśniarskiej. Koncert poprzedziła prelekcja dr. F. M. Nowowiejskiego p. t. „Formy i fazy twórczości mego ojca". Pokaz twórczości zgromadził liczną publiczność ze sfer muzycznych i uniwersyteckich.

OLSZTYN

W Olsztynie, w Zielone Świątki odbyły się „Gody Wiosenne" staraniem „Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej". Z chórów wyróżnił się najbardziej Chór Towarzystwa Muzycznego w Olsztynie pod dyrekcją prof. Mirosława Dąbrowskiego.

GDAŃSK

Chór gdański im. Moniuszki pod dyrekcją prof. Tadeusza Tylewskiego zapoczątkował współpracę z teatrem na płaszczyźnie krzewienia regionalnej sztuki ludowej. Pierwsze kroki skierowano na Kaszuby. Występy odbyły się w Kartuzach i Kościerzynie.

ŁÓDŹ

Przy L. I. M.-ie w Łodzi istnieje „Poradnia Muzyczna", której zadaniem jest wyszukiwanie młodych talentów, udzielanie porad w sprawach samokształcenia muzycznego oraz wskazówek w sprawie obierania specjalności muzycznych i zawodów przez amatorów muzyki, wreszcie badanie uzdolnienia muzycznego.

J. Sw.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Od 1 lipca 1946 prenumerata: kwartalnie 60 zł, miesięcznie 20 zł. Numer pojed. 10 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje FRANCISZEK TWARDOŃ.

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski, Lublin, Kościuszki 4

A-9221